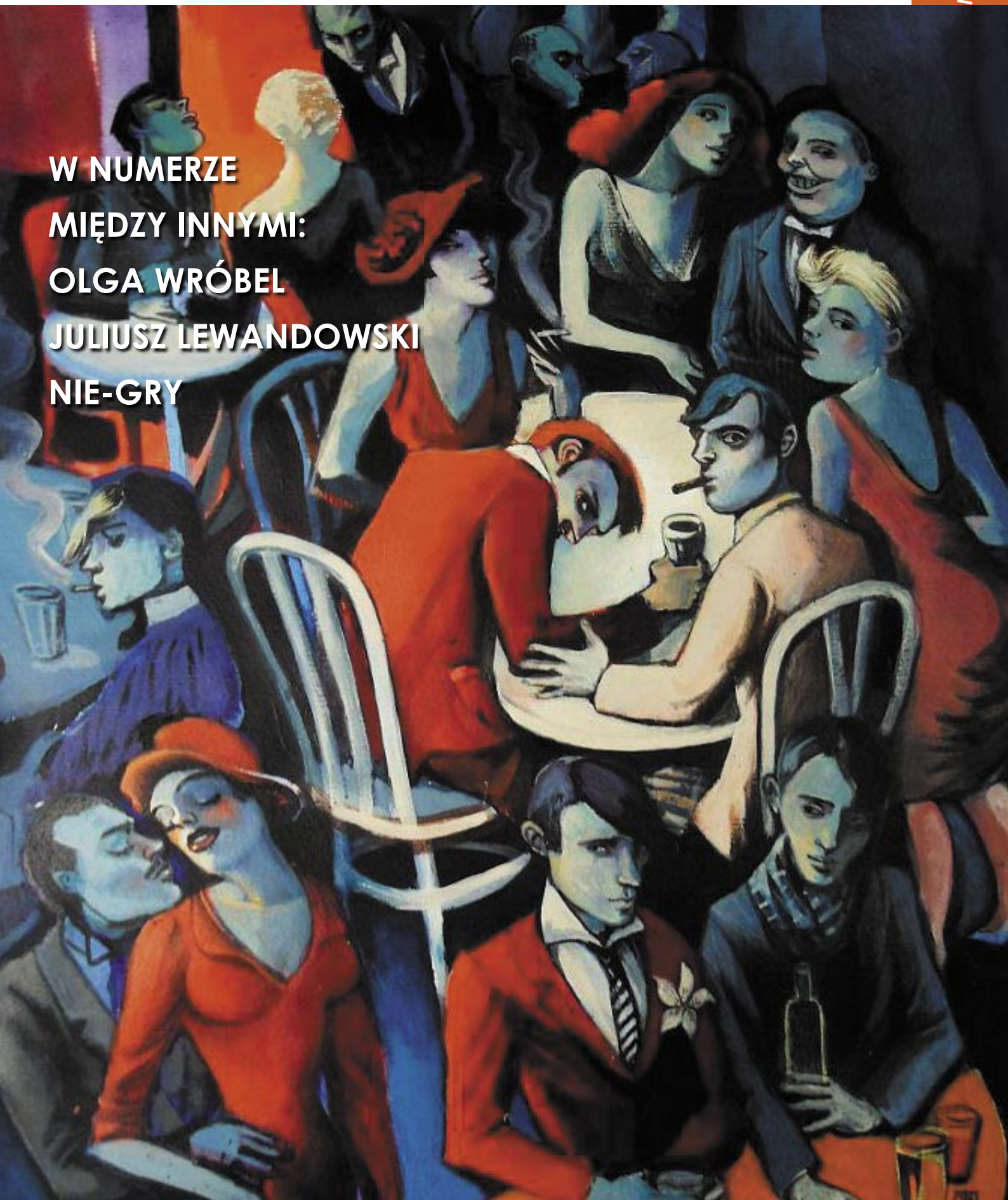
menażeria

MARZEC 2013 1|1



W NUMERZE

MIĘDZY INNYMI:

OLGA WRÓBEL

JULIUSZ LEWANDOWSKI

NIE-GRY

Na okładce praca Juliusza Lewandowskiego

Marcowy numer

Witamy w naszej menażerii! Jak można było przeczytać w słowie wstępnym ostatniego numeru „Musli Magazine", Magda Wichrowska i Szymon Gumienik zapowiadali ukazanie się nowego pisma mającego kontynuować misję „Musli". Oto ono. A i misja jest kontynuowana: zdecydowana większość zespołu redakcyjnego „Musli" (w tym Arek Stern i ja) zechciała współtworzyć „Menażerię". Są z nami w redakcji Magda i Szymon – Magda ma swą rubrykę alfabet mody polskiej, którą od razu tu polecam! – a art director „Musli", Monika Wieczorkowska, zaprojektowała nam również cudną szatę graficzną i fajne logo – dziękuję za to w imieniu całej redakcji! Dziękuję też Bartkowi Dobrzeleckiemu, który, podobnie jak dla „Musli", zatroszczył się dla nas o domenę i stronę www.

Jednak nie tylko misję „Musli" „Menażeria" kontynuuje: wydawcą pisma jest, jak informuje nas stopka, Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Megafon", które po kilkuletniej przerwie rok temu wróciło do aktywnej działalności kulturalno-społecznej, a jej owocem są między innymi comiesięczne Odczyty Dźwięku – każdorazowo niepowtarzalne spotkania poezji z muzyką. Styczniowy, 9. Odczyt – z udziałem Marcina Jurzysty, Lecha Nienartowicza, Michała Hajduczeni i Eweliny Osmólskiej – jest tematem fotorelacji Michała Groszewskiego. Również większość nowych członków redakcji stanowią aktywni członkowie naszego stowarzyszenia.

W „Menażerii" skupimy się na pracy podobnej do tej, którą z mozołem wykonywaliśmy w „Musli" – czyli na publicystyce kulturalnej (i nie tylko kulturalnej), doskonaleniu się w fachu dziennikarskim, na prezentacji zjawisk, miejsc (nowy cykl artykułów, którym opiekuje się Jerzyk Adamiak), artystów i ich twórczości. Co miesiąc w Tworach Gosia Herba będzie prezentowała dzieła współczesnych plastyków, Hania Grewling, Szymon Szwarc i Paweł Schreiber udostępnią nasze łamy pisarzom, a Jacek Podgórski i Dawid Śmigielski sprawią, że w „Menażerii" na stałe zagości komiks.

Chcemy też utrzymywać i podtrzymywać stałą łączność z Czytelnikami. Z tymi, którzy mają konta na facebooku, kontaktować się będzie Ania Ladorucka – każdy też może wysyłać swoje opinie, pytania, sugestie, przemyślenia itp. na któryś z adresów podanych w stopce redakcyjnej i na stronie pisma. Poza tym… jesteśmy przecież realnymi istotami z krwi i kości pojawiającymi się w różnych miejscach Torunia i kuli ziemskiej – nieustannie otwartymi na wymianę myśli z Szanownymi Czytelnikami!

Będziemy starali się podkreślać związki naszego miesięcznika z Toruniem, z tzw. BiT-City i całym regionem, ale równie mocno będziemy się starali wychodzić poza kujawsko-pomorską miedzę – zobaczymy, dokąd zawędrujemy… Z Toruniem w sposób szczególny wiąże nas w marcu pierwszy nasz patronat medialny – 5. CoCArt Music Festival.

A i z marcem, i z Toruniem chciałbym połączyć „Menażerię" dedykacją. Obchodzimy w tym roku 45. rocznicę Marca 1968 – również do naszego miasta dotarł Marzec, nie był tak spektakularny jak w Warszawie czy Trójmieście, ale i tu znaleźli się ludzie, którzy odważyli się w tamtym trudnym czasie walczyć o wolność słowa. Tym zapomnianym nieco bohaterom chciałbym dedykować pierwszy numer.

Marek Rozpłoch

dzieje się
Aram Stern
Nanowo w Od Nowie: Klamra 2/1 4

dzieje się
Marek Rozpłoch
Gmach z duszą 6

realacja
Aram Stern
Mono dream 8

fotorelacja
Michał Groszewski
Odczyt Dźwięku #9 12

fenomen
Małgorzata Drążek
TORUŃ SIĘ ŚMIEJE 14

konterfekt
Konrad Burzyński
Wojeciech Nowak.Ślady 16

fenomen
Paweł Schreiber
Gry dla dorosłych 20

konterfekt
Marek Rozpłoch
Szymon Słupnik. Windą do nieba 24

pod okładką
Jacek S. Podgóski
Co się kryje pod okładką? 28

pod okładką
z Olgą Wróbel rozmawia Jacek S. Podgórski
Wywiad intymny 30

pod okładką
Szymon Gumienik
Rycerze i męczennicy 34

pod okładką
Dawid Śmigielski
Ofiary losu, żołnierze, superbohaterowie 36

pod okładką
Jacek S. Podgórski
Zły do szpiku kości 38

twory
Michał Rzecznik 42

teksty literackie
Wojciech Boros 56

teksty literackie
Dorota Borowska 60

teksty literackie
Katarzyna Krzywicka 62

felieton. poza obiegiem
Beata Jurkiewicz 66

felieton. dzienniczek uwag
Szymon Szwarc 68

felieton. życie i cała reszta
Karolina Natalia Bednarek 70

felieton. w użyciu
Iwona Stachowska 72

felieton. lewym okiem
Andrzej Mikołajewski 74

alfabet mody polskiej
Magda Wichrowska
A - Ania Kuczyńska 76

obiekt pożądania
Karolina Wiśniewska
Joyrider 78

recenzje
Anna Ladorucka, Ewelina Kaszkowiak,
Wiktor Łobażewicz, Marek Rozpłoch,
Magda Wichrowska, Aram Stern, Paweł Schreiber 80

twory
Juliusz Lewandowski 86

tu bywaj
MD, MR, AS, SY, AL, lena 100

autorzy numeru 112

odsłony 115

komiks
Olga Wróbel
Wrogowie publiczni 116

Nanowo w Od Nowie: KLAMRA 2/1

XXI Alternatywne Spotkania Teatralne KLAMRA 2013
Akademickie Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa"
9 - 16 marca 2013

Po raz pierwszy w swej historii na dwóch scenach Akademickiego Centrum Kultury „Od Nowa" – z 12 spektaklami w rozmaitych konwencjach teatralnych – 9 marca ruszają *XXI Alternatywne Spotkania Teatralne Klamra 2013*! Przez osiem dni obejrzymy przedstawienia teatrów formy i tańca, jeden monodram, spektaklscenicznych obrazów oraz science show dla najmłodszych.Do tego wieczorne spotkania z autorami przedstawień orazimprezy towarzyszące: koncert Renaty Przemyk, pokaz filmów krótkometrażowych Romana Polańskiego, spotkanie z Januszem Opryńskim (Teatr Provisorium) i promocja książki o *Klamrze*. Słowem, jak zwykle będzie się naprawdę dużo działo.



Spotkania otworzą mistrzowie emocji oplecionychwyjątkową symboliką – Teatr Wierszalin, który po dwuletniej nieobecności na *Klamrze* zaprezentuje swój najnowszy spektakl *Wszyscy Święci. Zabłudowski cud.* Piotr Tomaszuk pokaże opowieść pełną luko tym, jak to w 1965 roku na zabłudowskich łąkach kilkunastoletniej dziewczynie ukazała się rzekomo Matka Boska, wzywając do pokuty. Nazajutrz wystąpią laureaci ubiegłorocznej *Klamry*: DADA von BZDÜLÖW w spektaklu *Duety nieistniejące*.„(…)to swoista, rodząca się z nudy „flânerie". Dryfy, spacery, opowieści - zaczynają się stale na nowo, stale siebie wzajemnie przetwarzając; obecne i znikające; zauważane i odrzucane". O relacji dwojga tancerzy opowie trzecia postać w spektaklu: autor muzyki Mikołaj Trzaska. Kolejnym teatrem tańca będzie doskonale znany na *Klamrze* Maat Projekt Tomasza Bazana. „Spektakl *Station de corpsto* minimalistyczny i konceptualny traktat o ciele, także poszukiwaniu jego granic poprzez poddanie ciała ekstremalnym doświadczeniom ruchowym". Podobną walkę na granicy własnej wytrzymałości pokaże także Lubelski Teatr Tańca w spektaklu *Gracerunners* – to będzie wyzwanie zarówno dla wykonawców, jak i dla widowni.

Po raz pierwszy na *Klamrze* zobaczymy wrocławski Teatr Formy, który zaprezentuje spektakl Pandora, oparty na kanwie *Wariata i zakonnicy* Stanisława I. Witkiewicza. W sztuce aktorzy użyją środków charakterystycznych dla teatru ruchu, nie ilustrując wiernie dramatu. Niewątpliwie także kolejny debiutant tutaj: Teatr Improwizowany Klancyk w spektaklu *Pan Harold* wniesie powiew wiosennej świeżości w piątym dniu Spotkań– angażując publiczność do wykrzykiwania słów-skojarzeń, z których rozwinie swój spektakl. Będzie dziwaczniei absurdalnie, ale któż tego nie lubi na *Klamrze*?

W Od Nowie i tego roku nie zabraknie oczywiście teatrów alternatywnych, które podczas poprzednich edycji zdobywały największe uznanie widzów. Teatr Kana (laureat nagrody publiczności m.in. w 2010 roku) zaprezentuje swój słynny monodram *Moskwa – Pietuszki* z 1989 roku, wyreżyserowany przez twórcę Kany- Zygmunta Duczyńskiego. Pokazywany był w języku polskim i angielskim na najważniejszych

festiwalach oraz w ośrodkach sztuki w Polsce, od Moskwy- przez Edynburgpo San Francisco, wszędzie spotykając się ze znakomitymi recenzjami i entuzjastycznym odbiorem.W roli alkoholika intelektualisty w pociągu do Pietuszek - Jacek Zawadzki. Komuna Warszawa, inaczej niż do 2009 roku,jako Komuna Otwock nie głosi już idei, ale opowiada historie – i to jakie! Wcześniej ich bohaterami byli m.in. Walter Gropius, czy Baader-Meinhof, na *Klamrze* zobaczymy jednak historię osoby realnej – i do tego historię jej przyszłości. *Sierakowski* (Sławomir) – to zdaniem Komuny Warszawa „jedna z najważniejszych postaci polskiej polityki teraz i jeszcze ważniejszej postaci polskiej polityki w przyszłości". Na oczach widowni rozegrasię więcdramat pomyłek i zwycięstw ikony młodej lewicy, pokazany z żartem i sympatycznym cynizmem. Poważne tematy zwykle porusza Teatr Ósmego Dnia, tak też będzie i podczas ostatniego (ósmego) dniatej edycji. *Do władzy wielkiej i sprawiedliwej* – to eksperyment teatralny w drodze od czytania do spektaklu, traktujący o donosach Polaków do Gestapo oraz obecnie do … urzędu skarbowego. Brzmi groźnie. Widzom o słabych nerwach nie polecamy także procesu zrzucania skóry przez performerów z formacji artystycznej SukaOff, która zaprezentuje program *Red Dragon*. W ich akcjach performerskich obraz obdzierania ze skóry może przywodzić na myśl mityczne i historyczne postaci, takie jak Marsjasz czy św. Bartłomiej. Także raczej dla widzów dorosłych (ze względu na zabarwienie erotyczne) przeznaczony będzie cykl nieco eksperymentalnych utworów muzycznych Jarka Kordaczuka do tekstów Agnieszki Kołodyńskiej pt. *Symptomy*. Wszystkie dźwięki poza partią aktorki, czyli partie zmultiplikowanego kontrabasu i monoctone realizowane są przez kompozytora. Projekt w wersji live ma charakter dzieła audioscenicznego, a z racji zaangażowania Kołodyńskiej staje się trochę spektaklem. Dotychczas na *Klamrze* pojawiali się sporadycznie- gimnazjaliści, ale w tym roku Teatr Wiczy wraz z Centrum Nowoczesności Nowy Młyn zapraszają także najmłodszych widzów na *Naukowy cyrk braci Nano*.

Klamra i *Klamerka* – ten tydzień nanometrycznie spinamy w Od Nowie!

Aram Stern



SYMPTOMY AGNIESZKA KOLODYNSKA, FOT. MACIEJ ĆWIEK

XXI Alternatywne Spotkania Teatralne
KLAMRA 2013
9 – 16 marca 2013

9 marca:
TEATR WIERSZALIN, *Wszyscy Święci. Zabłudowski cud*
inscenizacja i reżyseria: Piotr Tomaszuk, godz. 19.00

10 marca:
KLAMERKA: TEATR WICZY, *Naukowy cyrk braci Nano*, godz. 13.00
DADA von BZDÜLÖW (laureat 2012) *Duety nieistniejące*
koncept: Mikołaj Trzaska i Dada von Bzdülöw, godz. 19.00
SPOTKANIE Z JANUSZEM OPRYŃSKIM, godz. 20.30

11 marca:
KOMUNA WARSZAWA, *Sierakowski*
reżyseria: Komuna Warszawa, godz. 19.00
TEATR MAAT PROJEKT, *Station de corps*
reżyseria, choreografia: Tomasz Bazan, godz. 20.30

12 marca:
TEATR SUKA OFF, *Red Dragon*
reżyseria: Piotr Węgrzyński, godz. 19.00
POKAZ FILMÓW KRÓTKOMETRAŻOWYCH
ROMANA POLAŃSKIEGO, godz. 20.30

13 marca:
TEATR FORMY, *Pandora*
scenariusz i reżyseria: Józef Markocki, godz. 19.00
TEATR KANA, *Moskwa - Pietuszki*
reżyseria: Zygmunt Duczyński,
godz. 20.30

14 marca:
TEATR IMPROWIZOWANY KLANCYK, *Pan Harold*
Spektakl improwizowany,
godz. 20.30

15 marca:
LUBELSKI TEATR TAŃCA, *Gracerunners*
choreografia: Karen Foss,
godz. 19.00
KOŁODYŃSKA/KORDACZUK, *Symptomy*
projekt: Agnieszka Kołodyńska/ Jarek Kordaczuk,
godz. 20.30
KONCERT RENATY PRZEMYK,
godz. 21.00

16 marca:
TEATR ÓSMEGO DNIA,
Do Władzy Wielkiej i Sprawiedliwej
scenariusz i reżyseria: Teatr Ósmego Dnia,
godz. 19.00

Gmach z duszą

5. CoCArt Music Festival
22-23 marca 2013
Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu" w Toruniu

CoCArt
MUSIC
FESTIVAL

menażeria
patronat medialny

CoCArt zasłużył sobie na tytuł Oficjalnej Duszy CSW. Od prapoczątku istnienia gmachu zaklina go i nie pozwala mu skostnieć w muzealną skamielinę. Można odważyć się na przypuszczenie, że wszystko, co przyszło niestandardowego do CSW, miało ścieżki wytyczone wcześniej przez Rafała Iwańskiego i Rafała Kołackiego. Pewnie ktoś się obrazi, ale zanim to uczyni, niech wreszcie (bo na pewno tego wcześniej nie robił) wybierze się na CoCArt Music Festival i przekona się.

Będzie to piąta edycja jedynego w swym rodzaju festiwalu muzycznego w naszej polskiej - i ponoć nie tylko polskiej - części Europy. Muzyka elektroniczna i elektroakustyczna, sztuka audiowizualna, artyści z kraju i ze świata. Wszystko po raz pierwszy w sali kolumnowej na pierwszym piętrze. Kolejny etap wędrówki duszy CSW po swym organizmie. Czy ostatni? Czas pokaże. Pamiętam (z rozrzewnieniem) dawne CoCArty w garażach i (bez większego już ładunku emocjonalnego związanego z pomieszczeniem) zeszłoroczny w Pokoju z kuchnią.

Ale nie tylko CSW będzie gościło tegoroczny festiwal - również zaprzyjaźniony od dawna z CoCArtem (z nami też!) i promujący to samo spojrzenie na muzykę Klub Tantra, w którym festiwalowo zagra Stara Rzeka, czyli Kuba Ziołek.

Część artystów – chociażby Z'EV, SUDDEN INFANT – powróci na festiwal, ale będą też nowi goście, i to z bardzo wysokiego pułapu – wśród nich Pierre Bastien i Jean-Herve Peron.

Festiwalowe linki:
http://csw.torun.pl/dzialania/festiwale/5-cocart-music-festival
http://www.myspace.com/cocartmusicfestival (oficjalny profil)

Marek Rozpłoch

CoCArt
MUSIC
FESTIVAL

5. CoCArt Music Festival
22-23 marca 2013
Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu"
w Toruniu
[sala kolumnowa]

PROGRAM:

22.03.2013 (piątek):

Z'EV (US)
Jean-Herve Peron &Zsolt Sores (DE/HU)
PURE (AT)
ARMA (LT)

23.03.2013 (sobota):

Pierre Bastien (FR)
SUDDEN INFANT (CH)
THEME + guests (UK/PL)
Yannick Franck (BE)

Dodatkowe wydarzenia:

21 marca, godz. 20.30: koncert STARA RZEKA - Klub Tantra (wstęp wolny)

22 i 23 marca, godz. 23.59: chilloutroom - Klub Tantra (wstęp wolny)



Caryl Swift fot. Jadwiga Girsa-Zimny



Antigone Beirute fot. Lara Khatchikian



Antigone Beirute fot. Lara Khatchikian

Mono dream

Tekst: Aram Stern
Zdjęcia: materiały organizatora

Pierwsze chłody listopada nie nastrajają specjalnie do opuszczania domowych pieleszy i udania się w stronę „Baja Pomorskiego", w którym na jeden weekend cichnie gwar dziecięcej widowni, gaśnie ogień w kominku, a lalki chowają się w zakamarkach wielkiej szafy. W tych dniach na obu scenach królują ONI – samotni aktorzy, często bez rekwizytów, wymyślnych kostiumów i w niewielkiej przestrzeni; bez konkretnego wzoru na swoją sztukę – gdyż taki zwyczajnie nie istnieje. Monodram: najwyższy poziom skupienia uwagi widza na aktorze, przez godzinę lub dłużej.

„27 Toruńskie Spotkania Teatrów Jednego Aktora" zaczęły się od wielkiej i małej retrospektywy. Zanim Olgierd Łukaszewicz przypomniał swój słynny monodram *Psalmy Dawida* (premiera w 1974 roku), widzowie i my – piszący nocami recenzje do „Informatora Festiwalowego", mogliśmy poznać wytwory pracy naszych poprzedników, autorów tekstów do „Antraktu", tworzonych z niezwykłą pasją i poczuciem humoru podczas kolejnych edycji OFTJI. To w jednym z nich znalazłem taki oto komentarz z 1992 roku: „Jedna pani powiedziała: aktorka S.C. wyglądała na scenie jak skrzyżowanie pomnika Mikołaja Kopernika z Jarosławem Kaczyńskim". Tym razem jednak w krótkich przerwach pomiędzy monodramami widzowie nie rozmawiali na szczęście o polityce, lecz o swoich emocjach i bardzo subiektywnych wrażeniach teatralnych. Do mnie nie trafił metafizyczny przekaz rozmowy z Bogiem w *Psalmach Dawida*, choć mistrzowsko dopięty przez Łukaszewicza, to jednak już mocno niedzisiejszy. Zaskoczyła za to współczesność w języku *Wesela* Wyspiańskiego, na bazie którego Sławomir Maciejewski stworzył swój autorski monodram *Cosi, gdziesi, kajsi, ktosi*. Jeden z najlepszych aktorów Teatru im. Wilama Horzycy pożegnał się tym spektaklem z Toruniem: głośno, rockowo i z przytupem. Tak jak przed wiekiem ostrzegał wieszcz: nas wiecznie pijanych i walczących przeciw sobie „prawdziwych" Polaków. Aktor drwił, poił wódką i kazał trzymać kosę tak, że nie dało się tylko biernie patrzeć. Całość oscylowała bowiem pomiędzy gorzkim śmiechem a zadumą, kolejni widzowie zaś prowokowani byli do ciągłego przypominania sobie do jak „chorego" społeczeństwa należą. Biesiada w polskim zoo – nie dziwi, że Sławomir Maciejewski został pierwszym aktorem uhonorowanym w historii TSTJA nową nagrodą „Jednego Widza dla Jednego Aktora", ufundowaną przez Sklepy Zoologiczne „Nerro".

Maciejewski jest jedynym aktorem, który wywiózł z Torunia wyróżnienie – w pozostałych kategoriach (dla najlepszego przedstawienia i kreacji aktorskiej) zwyciężyły kobiety. Żałuję, że w tym gronie nie znalazł się Krzysztof Grabowski (zwycięzca 25 edycji TSTJA), który zaprezentował monodram *Partyk K*. Jego gra mieniła się podobną wielością barw, co u Sławomira Maciejewskiego. W fabule i zapętlonej warstwie słownej książek Jerzego Pilcha oraz satyrycznym przekazie „ciężkiego" losu swojego bohatera – typa, któremu niewiele się udaje, brakowało tylko zespołu muzycznego, za to wystarczyły zadziorne teksty piosenek („Hitler in my heart") gra świateł, wreszcie scenografia. Tam była kosa – tu siekiera, obie w rękach obydwu aktorów spowodowały emocjonalną gorączkę, stając się silną emanacją zbiorowej psychiki (nie należy bowiem zapominać, jak wielką rolę odegrał także świetny kontakt z publicznością obydwu aktorów). Zabrakło jej w manierycznej grze laureata Turnieju Jednego Aktora w Słupsku (2011), Mateusza Nowaka, który pokazał spektakl *Teatralność*. Również monodram *Najstarszy zawód* popularnego armeńskiego aktora, Roberta Hakobyan'a potraktować można było tylko jako wschodnią ciekawostkę i lekki przerywnik między poważnymi

tematami. Muzyka Bartosza Chajdeckiego w *Cosi, gdziesi, kajsi, ktosi* i piosenki Antony and the Johnsons w *Patryku K.* – to rockowy miód na uszy, za to naiwna melodyjka w monodramie Hakobyan'a, powtarzana kilkanaście razy w tej samej scenie, rozdrażniła tak, że ledwo wytrzymałem do końca.

Przedostatni akapit tej relacji poświęcam najlepszym – aktorkom, które są prawdziwymi czarodziejkami wyobraźni: Brytyjce Caryl Swift (Nagroda Kapituły Publiczności dla najlepszego przedstawienia) i Birute Mar z Litewskiego Narodowego Teatru Dramatycznego (Nagroda X Oddziału ZASP za kreację aktorską). Po suchym i martwym monodramie *Mur* Ewy Dąbrowskiej z Teatru Żydowskiego w Warszawie o życiu Ireny Sendlerowej, wydawać się mogło, że kolejny spektakl oparty na dokumentach z eksterminacji ludności będzie równie trudny do zniesienia. Tymczasem kreacja aktorska Caryl Swift w monodramie *Matka Mejra i jej dzieci* (wg reportaży Wojciecha Tochmana i Ryszarda Bilskiego) złożyła się na teatr niezwykły. Pełen emocji, ale nie emocjonalny, ani chłodną relację reportera, ani tym bardziej opowiadanie pełne zwrotów akcji – raczej teatr ludzkich cieni. Matka Mejra wiele lat po bałkańskiej masakrze swojej rodziny przyjmuje postawę heroicznej poszukiwaczki śladów, jak w hipnozie wymienia skrawki informacji, pyta jak zginęli, dlaczego, czy katem córki był jej chłopak? I najbardziej przejmujące jest to, że o konsekwencjach wojny nie opowiada rozpaczliwie, lecz z wyjątkowym spokojem. Caryl Swift się uśmiecha, w jej monologu szeleści język polski, a relacja o składaniu kości syna staje się tym bardziej przejmująca, im silnej postać jest spokojna, że wreszcie je znalazła. Ona żyje, w jej ustach wojna staje się naszą osobistą porażką, choć jesteśmy bezpieczni tutaj, to myślimy o Syrii i pamiętamy o Serbii. Płacz kilku kobiet z widowni i owacja na stojąco dwojga członków Jury Kapituły Publiczności uświadomiły, jak silnie Swift poruszyła ukrytymi demonami wojny w każdym z nas. Natomiast Birute Mar w *Antygonie* Sofoklesa przeniosła nas w zupełnie inny świat: najwyższej klasy aktorskiej maestrii. Grając w języku rosyjskim, (którego lawina słów przypominała ludowe zawodzenie sześciu postaci greckiej tragedii), aktorka budowała niezwykle piękne obrazy, tworząc je głosem, mimiką i kostiumem, w sposób tak genialny, by w sekundę stać się z Antygony dużo młodszą Ismeną, czy demonicznym Kreonem. Przyznam, że rzadko stykam się z grą na tak wysokim poziomie! Zgoda: nie wszystko można było zrozumieć, mógł niektórych razić chór w projekcji video (świetny!), czy elektroniczne echo komnaty króla Teb – to jednak wszystko współgrało niezwykle efektownie, ale nie efekciarsko.



Krzysztof Grabowski

Antygona Birute Mar, jak i inne pokazane na TSTJA monodramy dla mnie liczą się przede wszystkim, jako model tego, co w tej sztuce najbardziej aktualne, jednak bez potrzeby dorabiania jej ideowych koturnów. Tutaj w głównej mierze na pierwszy plan wysuwa się kunszt aktorski – nie ideologiczne togi, choć w monodramach wyraźnie było widać odniesienia do rzeczywistości i wspólny mianownik emocji zawartych w tej edycji Festiwalu. Smutna jest natura ludzka (Terezjasz), nerwowa (Patryk Kręcichrost i Katarzyna Bretloch) i błazeńsko zadziorna (Polak). By posprzątać jej zło (Matka Mejra) i by się jej nie bać (Irena Sendlerowa) – trzeba umieć marzyć. Samotnie.

27 Toruńskie Spotkania Teatrów Jednego Aktora
Teatr Baj Pomorski
23-25 listopada 2012



Sławomir Maciejewski fot. Wojtek Szabelski













Odczyt Dźwięku #9



Zdjęcia i tekst: Michał Groszewski

Po raz kolejny struktura słowa przeszyta została dźwiękiem podczas dziewiątego już spotkania w ramach Odczytu Dźwięku w Tantrze. Tym razem dialog nie zachodził jedynie w relacji poeta-muzyk, jak to zazwyczaj wygląda; wspólny język w improwizacji musieli znaleźć muzycy różniący się od siebie niemal wszystkim, od instrumentarium po charaktery. Wyszło lepiej niż dobrze, co popycha do myślenia o Odczycie jako o czymś więcej niż graniu do poezji. Eksperyment z pewnością będzie się rozwijał w kolejnych odsłonach, a tymczasem fotorelacja z tej ostatniej.









TORUŃ SIĘ ŚMIEJE

Tekst: Małgorzata Drążek
Zdjęcia: Izabela Terebińska

Nasz mózg to świetna wyszukiwarka. Wszystko, co kiedyś do niego „wgramy", może do nas powrócić w zaskakującej formie. Przykładowo, kiedy słyszymy słowo „śnieg", każdy z nas pierwsze skojarzenie ma takie samo - w wyobraźni widzimy biały puch spadający z nieba lub leżący pod naszymi stopami. Jeżeli temat pociągniemy dalej, przekonamy się, że każdy z nas zacznie budować osobistą sieć skojarzeń, nie zawsze zrozumiałą dla innych. Dla mnie śnieg to góry i zimowe obozy wędrowne. Dla Ciebie, Drogi Czytelniku, może to być coś zupełnie innego. Wystarczy więc „wpisać" jakieś hasło i obserwować, jaką reakcję skojarzeniową wywoła.

Branie udziału w improwizowanej scenie jest czymś więcej niż pozwalaniem na „wpisywaniem" kwestii przez twoich partnerów scenicznych do twojej osobistej wyszukiwarki i dodawaniem do tego czegokolwiek, co twój mózg wymyśli. Nie jest to jedynie wymyślanie absurdalnych gier słownych, które wydają się śmieszne. Całkiem dużo rzeczy wyzwoli twoją reakcję na wcześniejszą akcję, wpasuje się w ogólny charakter sceny i będzie zabawne. Zabawne, ponieważ będzie szybką i przede wszystkim spontaniczną reakcją, która buduje jakiś sens. Sens ten jest czasami trudny do zdefiniowania, ale istnieje.

Jedną z podstawowych zasad improwizacji jest słuchanie. Musisz uważnie słuchać kwestii swoich partnerów scenicznych. „Słuchanie daje ci możliwość brania udziału w konkretnej sytuacji stworzonej przez pozostałych aktorów i wydobycie z niej puenty" – mówi Mateusz Świerski, współtwórca pierwszej toruńskiej Grupy Improwizacyjnej TERAZ. Grupa powstała w listopadzie zeszłego roku i póki co ma za sobą trzy występy na scenie toruńskich klubów: Carpe Diem i Klubu Muzycznego Bunkier. Tworzy ją siedem pozytywnie nakręconych osób – studentów, bezrobotnych, informatyków, filozofów, kulturoznawców i pedagogów. Jak powstał sam pomysł na stworzenie takiej inicjatywy? Zupełnie przez przypadek. Mateuszowi już od jakiegoś czasu chodził po głowie pomysł grupy kabaretowej, której występy byłyby ściśle związane z reakcją publiczności. Któregoś dnia, po jednym ze stand-up'ów (komediowej formy artystycznej w postaci monologu przed publicznością) Mateusza i Huberta, wywiązała się rozmowa na temat kabaretowych form scenicznych. Zaczęliśmy drążyć temat, dorzucać kolejne pomysły, kolejne gry improwizacyjne i nagle okazało się, że znalazły się osoby, które chcą się tym zająć. Ba, już na pierwszym naszym występie, zjawiła się spora grupa słuchaczy.

Później było już z górki. Dostawaliśmy wiele wiadomości od odbiorców, którym spodobała się taka forma i wiadomość o naszych występach jakoś się rozeszła. „Z każdym kolejnym programem mamy coraz więcej przypadkowych słuchaczy, którym podoba się to, co robimy" – opowiada Marcin Walentynowicz, menager Grupy. Oprócz Mateusza i Marcina, grupę TERAZ współtworzą Małgorzata Drążek, Hubert Kotarski, Daniel Jadczak, Kornel Wawrzyniak i Filip Janików. Pomysły czerpią m.in. od innych grup z dłuższym stażem, takich jak ekipa Whose Line Is It Anyway, Ad Hoc, Klancyk, czy Siedem Razy Jeden. Przede wszystkim jednak motorem napędowym i głównym twórcą występów jest obecna na nich publiczność. „Publiczność jest dla nas największą inspiracją. My opracowujemy reguły danej gry i jakieś ogólne ramy, ale to nasi słuchacze dają nam sugestie odnośnie szczegółów, takich jak miejsce, w którym scenka ma się dziać, czy charakter odgrywanych przez nas postaci. Czasami potrafią nas zaskoczyć absurdalnością pomysłów i twórczą spontanicznością. Pokazuje to, że publiczność odbiera na podobnym poziomie i potrafi wczuć się w nasze poczucie humoru. Istnieją takie gry, których sama struktura sprawia, że prawie zawsze dobrze wychodzą, ze względu na środki, którymi się posługujemy. Jednak największą frajdę sprawiają nam zazwyczaj scenki z pozoru proste, w których to twórcze myślenie publiki buduje humor i oryginalność" – mówi Mateusz.

Publiczność na występach improwizowanych czerpie przyjemność z patrzenia na to, jak improwizatorzy dają z siebie wszystko na scenie. A co daje to samym występującym? Przede wszystkim frajdę z tego, co robią. Jak sami twierdzą, próby, podczas których wymieniają się pomysłami, są dla nich odskocznią od „szaroburowości". A przecież każdy trochę tego śmiechu potrzebuje. Mateusz przyznaje, że sam jest zaskoczony efektami pracy TERAZ. „Wiele się od siebie nawzajem uczymy. Przede wszystkim jest to skuteczna komunikacja, swobodne wystąpienia publiczne, większa spontaniczność i szybsze reagowanie na zmiany. Wielu rzeczy już się nauczyliśmy, ale ciężka praca jeszcze przed nami. Mamy kilka pomysłów, ale dajemy im jeszcze pooddychać. Jednym z nich jest stworzenie Toruńskiego Kolektywu Komediowego. Nie zależy nam jedynie na byciu zabawnymi. Chcemy wciągnąć w naszą grę toruńską publiczność i sprawić, żeby potrafiła śmiać się z nas i z siebie" – przyznaje.

Gdy weźmiesz codzienność i odwrócisz ją do góry nogami, ludzie będą się śmiali. Każde, nawet najbardziej prozaiczne zdarzenie, może stać się źródłem inspiracji. Warto więc chyba przekonać się o tym, że potrafimy śmiać sie z samych siebie i dać się wciągnąć w pokręcone pomysły Grupy Improwizacyjnej TERAZ. Przecież i śmiech niekiedy może być nauką.

więcej informacji:
https://www.facebook.com/TGITeraz
https://www.facebook.com/stand.up.torun


Bayan



Wojciech Nowak. Ślady

Tekst: Konrad Burzyński
Ilustracja: Andrzej Kilanowski

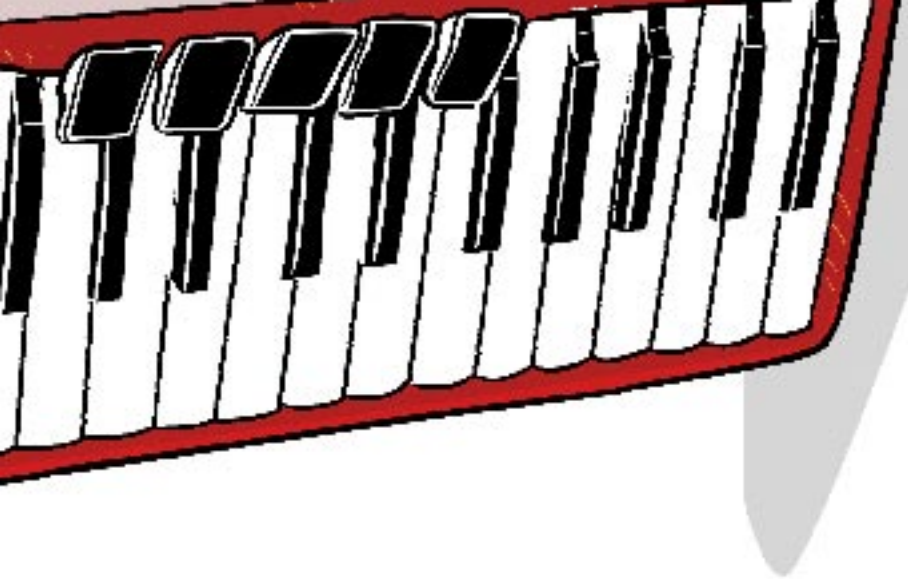
Postanowiłem rozpocząć cykl krótkich tekstów traktujących o polskich kompozytorach XX i XXI wieku. Być może powinienem rozpocząć od góry, czyli od Lutosławskiego, Pendereckiego bądź Góreckiego, ale mój pomysł jest nieco inny. Na początku chciałem wspomnieć o kilku nazwiskach, które najprawdopodobniej niewielu osobom, nawet zainteresowanym, coś mówią. Istnieje bowiem coś takiego, jak nisza w niszy. Co byśmy nie powiedzieli, muzyka współczesna jest swego rodzaju niszą. Ponieważ powinnością nieomal etyczną każdego kompozytora urodzonego po neoromantyzmie, jest stworzenie swojego własnego, niepowtarzalnego języka dźwiękowego, muzyka powstała w XX wieku jest mniej lub bardziej subiektywna. Sytuacja taka nie służy komunikatywności owej sztuki, zwiększa jednak siłę jej oddziaływania na pewne uwrażliwione jednostki, które przypadkiem tak samo odczuwają, przeżywają. Muzyka współczesna, zwłaszcza w tak zdewastowanym przez niekończące się transformacje, reformy i izmy kraju, nie jest towarem pierwszej potrzeby, jest zatem niszą, alejak już wcześniej zasygnalizowałem, w niszy tej znajdziemy twórców, o których niewielu jej miłośników słyszało.

Przechodząc więcdo sedna, chciałem państwu w paru słowach przedstawić sylwetkę Wojciecha Nowaka. Rocznik 1954, czyli rówieśnik kultowego Pawła Szymańskiego, wspaniałego postmodernisty i surkonwencjonalisty, także Tadeusza Wieleckiego, wieloletniego dyrektora Warszawskiej Jesieni. Trzy lata starsi od Nowaka są kompozytorzy nazwani „Pokoleniem Stalowowolskim": Andrzej Krzanowski, Eugeniusz Knapik i Aleksander Lasoń. Pokolenie to wypłynęło w połowie lat 70.na fali zmęczenia awangardą. Powód, dla którego o tym wspominam, to pokazanie absolutnej inności i niezależności Nowaka względem ówczesnych zjawisk i mód. Muzyka Nowaka w niczym nie przypomina stylu innych kompozytorów z jego pokolenia (co jest częstym zjawiskiem), mało tego, w ogóle nie przypomina nic, co



do tej pory działo się w muzyce powstałej po wschodniej stronie Odry.Nowak to uczeń Tadeusza Bairda, również outsidera, bowiem podobnie jak Nowak, Baird szedł w poprzek mód obowiązujących w czasach jego artystycznej aktywności. Baird to kontynuator linii ekspresjonistycznej, będącej bardzo ciekawą, acz w drugiej połowie XX wieku epigonalną tendencją, w której nacisk kładziono na możliwie silną ekspresję, dodajmy - ekspresję subiektywistyczną. Początków tej tendencji można doszukać się u Skriabina (jego późne utwory) oraz w Szkole Wiedeńskiej (Schoenberg, Berg, Webern). To Alban Berg był dla Bairda mistrzem, można powiedzieć, że wszystko to, co Baird napisał wartościowego, pozostawało w mniejszym lub większym stopniu pod wpływem muzyki twórcy *Wozzecka* i *Lulu*. Ma to niebagatelne znaczenie, bowiem pragnę pokazać pewne wspólne dla wspomnianych kompozytorów cechy, a mianowicie artystyczne przewrażliwienie (w przypadku Nowaka nie tylko artystyczne) oraz szukanie w sobie czegoś nowego, co chciałoby się przekazać niejako od siebie do konkretnej jednostki. Tak Baird, wczesny Schoenberg, Berg i w końcu Nowak nie mogli liczyć na powszechne uznanie, ich muzyka bowiem była adresowana do „sobie podobnych". O ile Berg i Schoenberg byli założycielami owego nurtu i łatwiej było im zaistnieć na kartach historii rozwoju muzyki (rzecz jasna również za sprawą ich nieprzeciętnego talentu), o tyle Baird i Nowak pozostali w pewnym sensie artystycznymi sierotami. Baird po dziś, poza nielicznymi dowodami uznania, nie cieszy się wśród muzyków (tak kompozytorów, jak wykonawców) wielkim poważaniem. I nic w tym dziwnego, wprawdzie stworzył swój własny język dźwiękowy, jednak jak na swoje czasy nie był awangardowy czy też progresywny. Istnieje przekonanie, że wartościowe jest tylko to, co progresywne, co popycha muzykę do przodu.Trzeba przyznać, że Baird na pewno takiej roli w historii muzyki nie pełnił. Uważam, że przy wszystkich różnicach, jakie dzielą Bairda i jego ucznia, mają oni wspólną cechę: piszą z serca, jakkolwiek brzmi to nieco sentymentalnie, jest to prawda, o której zresztą obaj twórcy wspominali w wywiadach. Niech dowodem na pewien brak rezonansu muzyki Nowaka będzie fakt (który notabene odejmuje trochę powagi mojemu zadaniu, z powodu trudnej dla czytelnika weryfikacji tego, co napisałem), że nie istnieje żadna płyta z jego utworami, nic również nie znajdziemy w internecie, nawet na stronie Polmicu, czyli Związku Kompozytorów Polskich nie ma o nim wzmianki. Kiedy szukałem w internecie informacji o Nowaku, żeby przygotować się do pracy nad tekstem, okazało się, że właśnie ten tekst będzie bodaj pierwszym na jegotemat. Nie wykluczam, że gdzieś coś o nim napisano, ale dotarcie do tego jest wyzwaniem. Jedyne co znalazłem, to tytuły utworów napisanych na ukochany przez twórcę-*Pneumatofonii* instrument: akordeon. Właściwie można by postawić tezę, że tekst jest o tyle nieprzydatny, że czytelnik będzie miał problem z dotarciem do tej muzyki, więc po co to robić… Ale cóż, kropla drąży kamień nie siłą, lecz ciągłym kapaniem.

A teraz parę zdań na temat samej muzyki Nowaka. Jak już wspomniałem, ulubionym instrumentem, na który Nowak pisał swe dzieła był akordeon, czasem również organy, czyli instrumenty miechowe.Ma to swoje odzwierciedlenie w samej muzyce, bowiem ten rodzaj instrumentów jest doskonały do pisania muzyki odbywającej się w liniach ciągłych, gdzie ważne jest natężenie dźwięku oraz nieznaczne preparowanieczy zniekształcanie barwy przy małych różnicach w wysokościach. Ten „pomysł na muzykę" może wprawnemu i osłuchanemu melomanowi przypominać idiom Giacinto Scelsiego, charyzmatycznego, owianego legendą włoskiego twórcy. Warto by było zatrzymać się przy Scelsim, aby pokazać strefę filozoficznych wpływów istniejącychw jego muzyce. Scelsi, będąc młodym człowiekiem przeszedł załamanie nerwowe i tworzenie muzyki było dla niego czymś zupełnie innym aniżeli tylko dźwiękową spekulacją, było rodzajem terapii. Terapią polegającą na graniu cały czas tego samego dźwięku przy różnicach w natężeniu, była to rzecz prosta i kiedy Scelsi leżał jeszcze w szpitalu, ograniczał



się tylko do tego. Potem nałożył na to woal synkretycznej religijności, niewyrzekającej się również okultyzmu, z mocnymi wpływami buddyzmu. Kompozytor niezwykle ciekawy, jeden z największych outsiderów, dopiero pod sam koniec swojego życia doceniony, a i też tylko przez niesporą część „środowiska". Przewidział dość wcześnie,z dokładnością do jednego dnia, datę swojej śmierci, a zmarł śmiercią naturalną! Prawdziwy dziwak! U Nowaka jest podobnie– z tym, że w jego przypadku wszystko toczyło się dobrze do pewnego momentu, kiedy to postanowił rzucić swoje dotychczasowe życie i wyjechał nie wiadomo dokąd. W wywiadzie, którego udzielił w latach 90. Ewie Szczecińskiej w Programie 2 Polskiego Radia, wspomniał, że nie podoba mu się współczesny świat, popkultura i nastawienie na przyjemności życia. Mam wrażenie, choć mgła niepamięci nie pozwala mi na pewność, że jest (był?; nie wiadomo nawet czy żyje!) człowiekiem głęboko religijnym, co ma swoje odbicie choćby w tytułach jego dzieł. W latach 90.,jak większość melomanów nagrywałem z Radiowej Dwójki dużo muzyki.Nagrałem wówczas bodaj wszystkie utwory autorstwa Wojciecha Nowaka, które znajdują się w czeluściach archiwum Polskiego Radia, są to:

Adventus na kontrabas solo (1981);może najmniej przypominający późniejsze utwory twórcy, jest w miarę klasyczny, operuje jak na Nowaka dość złożoną rytmiką i obiegowym „współczesnym"modelem narracji, typowej dla utworów na instrument solowy.

UFO na akordeon solo (1982); to już typowy przykład idiomu artysty.

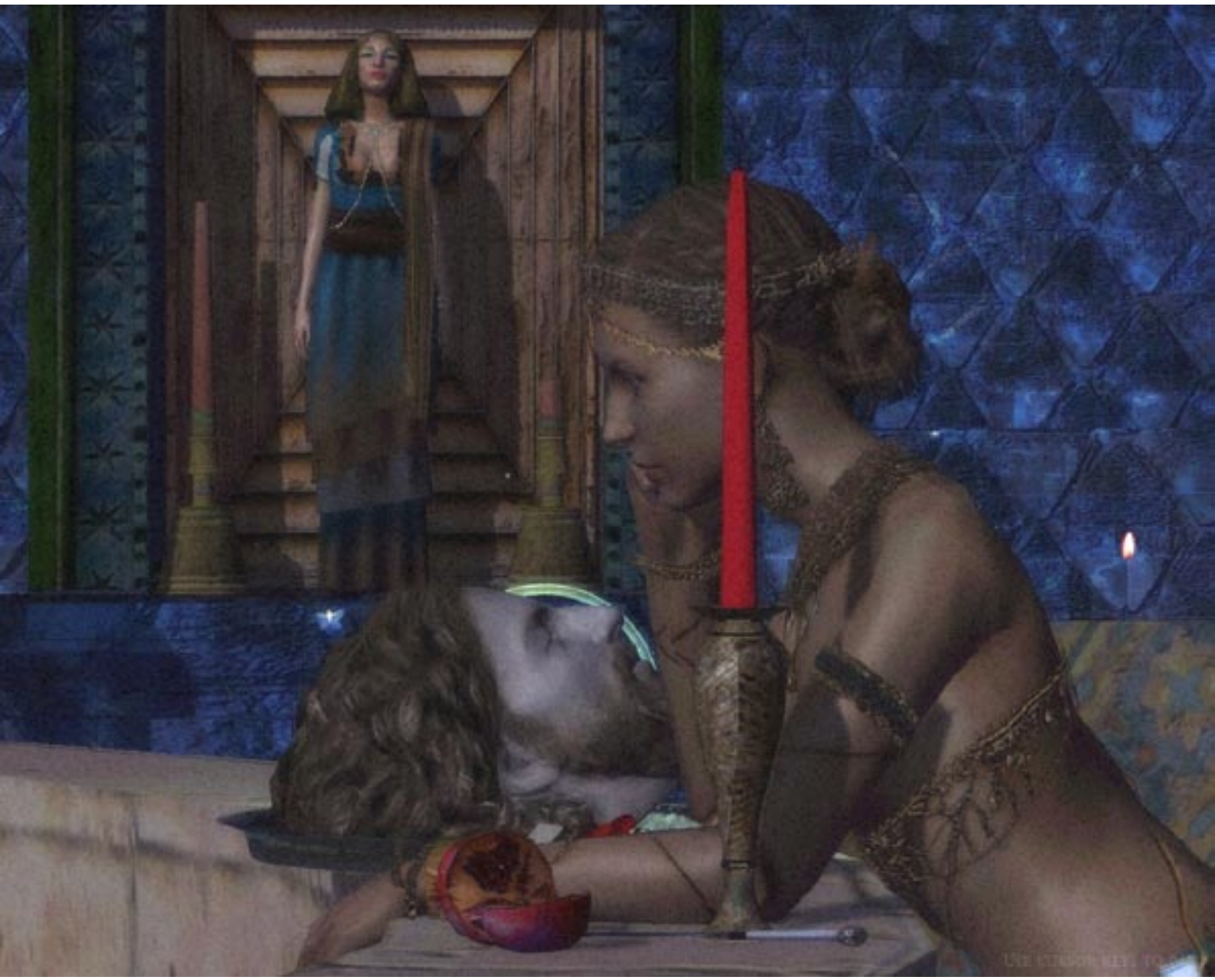
Duo na akordeon i kontrabas (1987).

Trio na saksofon altowy, akordeon i fortepian (1988); mój ulubiony utwór, chyba najpełniejszy, może z uwagi na „poszerzone" jak na Nowaka instrumentarium.

Tetraptyk Epifanii na recytatora (którym w jedynym nagraniu jest sam autor) i organy (1989); świetny utwór operujący zaskakującymi dla przeciętnego słuchacza możliwościami artykulacyjnymi organów (ta muzyka brzmi jak elektronika!).

Pneumatofonia. Nagłe pojawienie się Ducha Świętego. Communio na uroczystość Zesłania Ducha Świętego na dwa akordeony i organy (1991);tytuł może przywodzić na myśl, także ze względu na organy, postać i muzykę Oliviera Messiaena, francuskiego metafizyka (który zresztą zmarł w 1991 roku) i jego utwory, często o tytułach wręcz liturgicznych, równie długich jak *Pneumatofonia*.

Muzyka Wojciecha Nowaka to zjawisko osobne dla polskiej muzyki, warte zainteresowania, zwłaszcza dla słuchaczy poszukujących, takich, którzy może już trafili na nazwiska takie jak Tomasz Sikorski czy SzabolscEsztenyi.



Fatale

Gry dla dorosłych

Paweł Schreiber

Rok 2012 może się okazać kluczowym w historii gier wideo. Dlaczego? Wystarczy spojrzeć na wszelkiego rodzaju zestawienia najlepszych tytułów roku. We wszystkich najważniejszych króluje gra Journey na konsolę PlayStation 3. Zbiera nagrodę za nagrodą. Gdyby podliczyć prestiżowe wyróżnienia, jakie dotąd otrzymała, okazałoby się pewnie, że to jeden z najlepiej ocenianych tytułów w historii gier komputerowych i konsolowych. Cały problem w tym, że Journey to, zdaniem wielu, w zasadzie nie gra. Należy do bardzo specyficznego nurtu, rozwijającego się już od dawna, ale dopiero ostatnio na dobre zauważonego przez zajmujące się grami media. Robocza (i pewnie tymczasowa) nazwa tego zjawiska to „nie-gry" (notgames). Kiedy „nie-gra" zostaje grą roku, wiadomo, że dzieje się coś bardzo ciekawego.

Czym różni się „nie-gra" od zwykłej gry? Odrzuca większość rzeczy, które kojarzą nam się z pojęciem gry wideo i gry w ogóle. Nie chodzi w niej o wyzwania, którym trzeba stawić czoła. Nie zdobywa się kolejnych umiejętności, które się potem wypróbowuje. Brak tu motywacji w postaci wygranej – w „nie-grze" jasno zdefiniowane zakończenie rzadko wynagradza trud gracza. Czasami twórcy zupełnie z niego rezygnują. Nie ma tu miejsca na osiągnięcia i rywalizację. Nie ma pędzącej przed siebie akcji, która ma nie dopuścić do tego, żeby gracz choć przez chwilę się nudził. Nie ma przemocy. Chodzi po prostu o zanurzenie się w doświadczeniu, które może po jednym odbiorcy spłynąć jak woda po kaczce, ale innego może zachwycić, albo nawet zmienić jego sposób myślenia.

Początki ruchu „nie-gier" można upatrywać w działalności dwóch małych firm – thatgamecompany i Tale of Tales. Założycielem pierwszej jest urodzony w Szanghaju, a obecnie mieszkający w USA Jenova Chen. W roku 2005, jeszcze jako student, stworzył grę Cloud. Opowiada ona o chorym dziecku, które z ciasnej sali szpitalnej ucieka w świat wyobraźni, gdzie w piżamie lata po niebie, ciągnąc za sobą chmury i układa je w wymyślne wzory. Pojawiają się tu luźno zdefiniowany cel (ułożenie danego kształtu), ale to tylko dodatek do przyjemności czerpanej z latania i rozsypywania chmur po niebie jak piasku mandali (skojarzenie o tyle na miejscu, że sam Chen określa swoje dziełka jako „gry Zen"). Kolejne gry założonej przez Chena firmy thatgamecompany trzymały się podobnych rozwiązań. We flOw gracz wciela się w stopniowo ewoluujący organizm pływający przy akompaniamencie kojącej muzyki po kolejnych piętrach rodzącego się w praoceanie życia. We Flower kierujemy wiatrem niosącym płatki kwiatów, dzięki którym rozkwitają łąki i pola. Journey to obraz tajemniczej pielgrzymki w kierunku umieszczonej na horyzoncie góry; kierowana przez gracza postać najpierw biegnie przez przesypujący się pustynny piasek, a potem uczy się nad nim szybować w długich skokach. Zawarte w grze wytłumaczenie, skąd wzięły się napotykane co krok, częściowo zasypane monumentalne ruiny, jest bardzo skromne. W Journey przestrzeń staje się symbolem – może pracy, może rozwoju, może drogi duchowej. Nie istnieje, jak w wielu innych grach, po to, żeby ją pokonać – tylko po to, żeby się nią delektować.

Drugim kluczowym ogniwem ruchu „nie-gier" jest belgijski duet Tale of Tales, tworzony przez małżeństwo artystów, Aurieę Harvey i Michaëla Samyna. O ile gry Jenovy Chena mają na celu przede wszystkim piękny, medytacyjny relaks, Harvey i Samyn mają dużo większe ambicje intelektualne. Ich najciekawszym projektem jest Fatale, błyskotliwa adaptacja Salome Oscara Wilde'a, w której okazuje się, że charakterystyczny dla gier język eksploracji i interakcji świetnie nadaje się do dyskusji z literaturą i z teatrem. Bo Fatale to nie streszczenie tekstu Wilde'a, a rozmowa z nim – to najlepszy rodzaj adaptacji. Innym ważnym tytułem Tale of Tales jest The Path – wariacja na temat opowieści o Czerwonym Kapturku. Tu wilk nie jest potworem, którego należy uniknąć, ale bolesnym doświadczeniem inicjacyjnym, przez które trzeba przejść. Dla każdej z kilku bohaterek, dziewcząt w różnym wieku, przyjmuje inną postać. Dla starszej może nim być brutalny partner, dla młodszej – powoli budząca się świadomość, że każdego czeka śmierć. Najnowsza produkcja Tale of Tales, Bientôt l'été, to oparty na twórczości Marguerite Duras symboliczna historia o miłości i kryzysie komunikacji. Główna postać – kobieta lub mąż

czyzna – błąka się po nierealnej, opustoszałej plaży, zbierając z piasku cytaty z powieści Duras. Potem, w nadmorskim hoteliku, łącząc się przez Internet z innymi graczami, próbuje za ich pomocą prowadzić przypominającą grę w szachy rozmowę z ukochaną osobą, w której po pewnym czasie kończą się i możliwe ruchy, i perspektywy porozumienia. To chyba najlepszy interaktywny odpowiednik kultowego filmu Zeszłego roku w Marienbadzie Alaina Resnais.

Jednym z kluczowych przykładów nie-gry jest Dear Esther firmy Thechineseroom. Początkowo była to darmowa modyfikacją do gry Half-Life 2, potem, ze znacznie poprawioną grafiką, została wydana jako samodzielny tytuł. Na pierwszy rzut oka celem gracza jest samotna włóczęga po wyspie, której surowy krajobraz przywodzi na myśl Hebrydy czy Bergmanowskie Faroe. Od czasu do czasu rozlega się głos tajemniczego narratora, opowiadającego fantastyczne historie. Dopiero po pewnym czasie okazuje się, czego właściwie dotyczą. Wyspa nie jest przestrzenią realną – chodzimy po zakamarkach pamięci, która próbuje sobie poradzić z doświadczeniem straty i samotności, tworząc opowieści krążące wokół minionej traumy. Dear Esther to rozpisany na pedantycznie szczegółowe obrazy skał, źdźbeł trawy i jaskiniowych stalaktytów obraz żałoby. To również jedna z pierwszych „nie-gier", które wywołały w zajmujących się grami mediach żywiołową dyskusję na temat tej formy.

Nie wszystkie „nie-gry" oddziaływają na odbiorcę melancholijnym spokojem. Little Inferno firmy Tomorrow Corporation to dzieło Kyle'a Gablera, którego twórczość przywodzi na myśl najlepsze lata Tima Burtona – jest groteskowa, zabawna i nieprzewidywalna, bo jak dziecięca wyobraźnia płynnie łączy baśniowość i humor z makabrą i śmiertelną powagą. Przestrzeń gry prawie do samego końca nie wykracza poza nowy, przebojowy gadżet dla dzieci: Rozrywkowy Piecyk „Małe Piekiełko", w którym można do woli palić zabawki kupowane ze specjalnych katalogów. Ogień przepięknie pochłania kolejne przedmioty – zabawa jest świetna, do chwili, kiedy wkracza w nią niepokój wraz z zabawkami takimi jak „Starsza pani (pewnie niedługo umrze)" albo „Moje obrazy", dzięki którym można spalić w piecu dowolne zdjęcie z dysku komputera lub profilu na Facebooku, z adnotacją: „Możesz spalić obrazek, ale nie wspomnienie". Niepokojące znaczenia mnożą się i zderzają ze sobą (alkohol+tabletki dla samotnych kobiet? Proces sądowy+cudza karta kredytowa?), a Little Inferno z beztroskiej zabawy zmienia się w złośliwą, miejscami brutalną, ale trafną diagnozę kultury, w której życie krąży wokół żądzy kupowania i żądzy zużywania. Zakończenie – którego nie wyjawię – to piękne, choć nieco ironiczne katharsis, chyba najsilniejsze, jakiego doświadczyłem w grze wideo.

Tytułów można by wymieniać jeszcze mnóstwo – od Thirty Flights of Loving, zwariowanej, bawiącej się chronologią parodii filmu sensacyjnego, która nagle okazuje się historią o dojmującej stracie, po The Snowfield, wstrząsający, choć przecież symboliczny, obraz pobojowiska, który mówi o istocie wojny więcej niż wszystkie gry wojenne razem wzięte. Ważne miejsce wśród „nie-gier" zajmuje też polski akcent – Datura, produkcja docenionej przez Sony łódzkiej grupy demoscenowej Plastic, współczesny moralitet luźno oparty na kolejnych stacjach Drogi Krzyżowej.

Prawdę mówiąc, zjawiska podobne do „nie-gier" to żadna nowość. Gdy spojrzeć w historię gier wideo, można w niej znaleźć wiele tytułów, które mogłyby z powodzeniem zostać zaliczone do tej kategorii, takich, jak na przykład The Residents: Bad Day on the Midway czy Gadget: Past as Future z połowy lat 90-tych. Zwykle szybko znikały z rynku jako produkcje niszowe, zbyt ambitne dla przeciętnego odbiorcy. Teraz, po wielkim sukcesie Journey, dużo trudniej zamieść je pod dywan. I trudniej myśleć o grach wyłącznie jako o niezbyt rozwijającej formie rozrywki dla niespecjalnie dojrzałych, którą już od dawna nie są.



Little Inferno



Journey



Szymon Słupnik. Windą do nieba

Tekst: Marek Rozpłoch
Ilustracje: Gosia Herba

Nakręcony przez Luisa Buñuela w roku 1965 Szymon Pustelnik (Simón del desierto) jest ostatnim filmem tryptyku nawiązującego do tematyki religijnej – przed nim były Viridiana i Anioł Zagłady. Co ciekawe, w podobnym czasie podobny tryptyk stworzył Bergman; mistrzowie kina gdzie indziej stawiali akcenty i nieco inną wymowę miały ich filmy, a jednak podobne, a może i te same pytania zdają się w tych dziełach zadawać – w tym pytanie o sens religii i potrzebę odniesień religijnych we współczesnym świecie.

W sprawie odniesień religijnych Buñuel od razu musiałby odpowiedzieć pewnie „tak" – widoczna jest w tych jego filmach potrzeba przywołania, choćby przewrotnego i ukazanego w krzywym zwierciadle wątku religijnego – chrześcijańskiego, rzecz jasna.

W przypadku hiszpańsko-meksykańskiego twórcy, chciałoby się dodać „katolickiego", ale w obliczu hagiografii, która była inspiracją do stworzenia Szymona Pustelnika, byłaby to już uzurpacja, jako że święty Szymon Słupnik - do którego i naśladowców nawiązuje film – choć czczony w chrześcijaństwie zachodnim, przynależy nade wszystko do tradycji wschodniej, prawosławnej.

Podobnie nurt, który zapoczątkował – stylityzm (z rosyjska - stołpniczestwo). Nurt ten w ogóle nie został przez chrześcijański Zachód przyswojony, zaś w Bizancjum i na Rusi zdobywał przez wieki ochotników i czcicieli tych ochotników. Powołany do słupnictwa stawiał sobie kilku lub kilkunastometrową kolumnę (albo wybierał naturalny twór geologiczny kolumnę przypominający), na której szczycie postanawiał spędzić resztę życia. Możemy sobie wyobrazić coś przypominającego nieco greckie Meteory – tyle tylko że w wersji znacznie pomniejszonej i solo; i często bez żadnej ochrony przed deszczem, słońcem, wiatrem.

Tak żył sam święty Szymon Słupnik. Na podstawie zebranych informacji – z których część pozostaje ze sobą w sprzeczności i te staram się tu pomijać – ów charyzmatyczny asceta żył w IV i V w. w Syrii – zatem w określanej później mianem Bizancjum wschodniej odnodze podzielonego Imperium Romanum. Wschodniej, czyli greckojęzycznej (jeszcze nie urzędowo, ale był to język najpowszechniej używany) i bardzo głęboko już schrystianizowanej, w tamtych czasach pozbywającej się też pozostałości pogańskiej spuścizny antycznej.

Pochodził z ubogiej wiejskiej rodziny, w wieku kilkunastu lat postanowił wybrać życie monastyczne, ale potrzeba głębszej ascezy nie została zaspokojona przez konwencjonalne życie zakonne i musiał szukać własnej drogi. Po jakimś czasie znalazł ją na rzeczonej kolumnie, która na początku jego samoudręczenia miała mieć parę metrów wysokości, a pod koniec życia (parę dekad później) – parenaście. Potrzeba ascezy zatem nieustannie się pogłębiała i wznosiła Symeona Stylitę (jak też bywa nazywany) ku niebu. Gromadziły się tłumy pielgrzymów przybywających z różnych stron świata, miejsce kultu przekształciło się wkrótce w osadę. Asceta nie składał ślubów milczenia i głosił z wysokości słupa nauki podbudzające instynkt moralny i religijny, a wśród wielu budzące także potrzebę zbudowania własnych słupów.

Miejsce to położone niedaleko syryjskiego Aleppo zostało po śmierci świętego Słupnika obdarzone przez cesarza bizantyjskiego Zenona największym w ówczesnym chrześcijańskim świecie kościołem, z którym konkurencję wygrała po latach dopiero konstantynopolitańska Hagia Sophia.

Również na wschodzie Polski możemy znaleźć parę cerkwi czczących jako patrona świętego Stylitę. Są śladami kultu stylityzmu, który rozpowszechnił się w całym prawosławnym średniowiecznym świecie. Jeszcze wiele wieków po świętym Szymonie Ruś wydała słynnych stylitów: Nikitę i Sawę i mniej znanych innych, w bliższych zaś Szymonowi czasach – wśród rzeszy naśladowców pojawił się w jego ojczystej Syrii Szymon Słupnik Młodszy. Wyróżniał się intensywną działalnością intelektualną i piśmienniczą, której nie stały na przeszkodzie specyficzne warunki słupnicze. Znana jest też opowieść o trudnościach, jakie napotkał biskup chcący udzielić mu święceń kapłańskich – musiał się mianowicie wspiąć po drabinie do wyświęcanego.



Ta historia, jak też masa różnych mniej lub bardziej prawdopodobnych przypowieści o cudach, uzdrowieniach, szczególnie wymyślnych formach ascezy pokazuje, jak wiernie został przez Buñuela oddany fenomen stylityzmu. Nie chodziło Buñuelowi o stworzenie tylko groteskowej wizji absurdalnego zaangażowania religijnego, ale o ukazanie różnych odcieni ascetyzmu i chrześcijańskiej religijności – w sposób przewrotny i mogący szokować, ale w oparciu o autentyczny fenomen. W tym to fenomenie skupia się cała masa istotnych do rozważenia spraw związanych z chrześcijańskim zaangażowaniem religijnym – także we wspomnianej na początku konfrontacji ze współczesnością.

Przede wszystkim sprawa uzależnienia przeżywanej indywidualnie religijności od obowiązującego w kulturze danych czasów paradygmatu. Oddzielenie od społeczeństwa nie oznacza niezawisłości od niego, lecz wejście z nim w rodzaj gry; gra się kończy, gdy okazuje się, że ludzie, przed którymi przeniesiony do współczesności Szymon Pustelnik siedzi, nie podzielają wiary w ów paradygmat. Czy faktycznie autentyczna jest religijność tak mocno powiązana z realiami kulturowymi…?

Sprawa ascezy. Ascezy, która uszlachetnia, a zarazem sprawia, że asceta zamyka się w świecie lęków przed zaprzeczeniem choćby na moment swojej misji. Komizm postaci łączy się z tragizmem sytuacji, w jaką się postać uwikłała i z której jakby nie ma wyjścia.

Sprawa charyzmy, kultu świętego za życia. Człowiek taki traci cechy ludzkie, staje się prorokiem, głosem transcendencji. Można uznać to za niedostępne nam, grzesznym przebóstwione życie będące dla rzesz ludzkich odpowiedzią na potrzebę posiadania autorytetów – w tym przypadku autorytetu religijnego. Można też, w nawiązaniu do wcześniejszego pytania o autentyzm religijności, zadać pytanie, czy w przypadku, gdy mamy do czynienia wyłącznie z pewną szczególną rolą w religijnym społeczeństwie, nie jest to okaleczenie (względnie – samookalecznie się) człowieka, który zastępuje głębsze relacje międzyludzkie niekończącym się teatrem – i to teatrem na wysokich koturnach. W tym przypadku – kilku lub kilkunastometrowych.

Odchodząc od filmu, a wracając do fenomenu stylityzmu, warto dodać, że formą ascezy, która pojawiła się wcześniej od wynalazku Szymona, było samoudręczanie się staczy, którzy też w jednym miejscu, stojąc, spędzali swój żywot, ale nie było to miejsce podwyższone, wywyższone. Podwyższenie utrudnia zejście i bezpośredni kontakt ze światem, lecz też i przez swą niezwykłość i naturalną w człowieku fascynację tym, co większe – bardziej sakralizuje ascetę, który staje się lepiej widocznym dla wyznawców przykładem



pobożności, ale też bardziej przez to teatralizuje swe życie. Zresztą stanie postaci na kolumnie nie kojarzy nam się chyba z poniżeniem, lecz jakimś szczególnym (nomen omen) uwznioślenieniem – czego przykłady zobaczymy na londyńskim Trafalgar Square czy placu Zamkowym w naszej stolicy.

Czy nie jest ciekawsza inna droga do świętości wybierana przez pomazańców Bożych na wschodzie chrześcijańskim – również zapoczątkowana w Bizancjum i rozpropagowana na Rusi, później w Rosji – droga saloityzmu (zwanego z rosyjska jurodstwem)? Droga świętego szaleńca, idioty, który nie wznosi się ponad ludzi, by przemawiać z wysokości kilkunastometrowej kazalnicy, ale idzie prosto do nich – zmuszając swoją niestandardową postawą do koncentracji na sprawach niedoczesnych. Do polskiej humanistyki w szczególny sposób postać rosyjskiego jurodiwego wprowadził Cezary Wodziński – zmuszając do zastanowienia się, czy w tej postawie nie było czegoś więcej niż tylko powierzchowna religijna egzaltacja. Chyba trudniej coś takiego dostrzec u Słupnika…?



Co kryje się pod okładką?

To, co za moment napiszę, nie jest rzeczą nową i wielce wydumaną, ma jedynie stanowić pewien drogowskaz, za którym, jako redaktorzy, będziemy podążać.

Filozofia komiksu opiera się przede wszystkim na przekonaniu, że jesteśmy zdolni stworzyć możliwy, fikcyjny świat. Świat, w którym można na wiele sposobów osadzić bohaterów, wykreować ich przy użyciu wręcz nieograniczonych środków narracyjnych i artystycznych. Za pomocą kontrastu cech, metafory, czy też humoru autor zdolny jest nawet przy ograniczonych środkach plastycznych zbudować niesamowity klimat odzwierciedlający np. samotność i cierpienie (by podać przykład, czyni tak norweski autor Jason w tytule *Stój…*). Natomiast rozbudowana nowela graficzna oparta na kolażu, czy też mieszaniu wielu metod graficznych (tworzących płaszczyzny graficzne – odpowiedniki warstw narracji), nie musi być wspierana rozwiniętym scenariuszem, by ukazać wymowność np. przemian psychiki bohatera (warto tutaj wskazać prace Dave'a McKeena). To właśnie ta dowolność metod decyduje o sukcesie poprawnego przekazu i poczytności komiksu.

Wracając do postawionych na początku pytań, warto pytającym odpowiedzieć wprost, iż komiks, to taka podróż przez różne obszary naszej natury – od frustracji i lęku po ilustracje naszych zdolności do wypracowywania wspólnych rozwiązań wobec problemów. Komiks jest częścią popkultury, ale posiada też swoje mroczne strony, nie tylko bawi ale i ma prowokować, wręcz drażnić – co jak wiadomo udaje się z dość dobrym skutkiem!

Właśnie taką rolę obieramy sobie tworząc samodzielny dział „Pod okładką" – chcemy pokazać różne oblicza wyżej opisywanego medium. Oprócz w pełni autorskich i subiektywnych recenzji aktualnych tytułów, będziemy starać się pokazywać oblicza pisarzy i artystów, którzy z racji swojej natury prowokują, jak i bawią, a przede wszystkim stanowią filar szeroko pojętej kultury.

Oddajemy w Państwa ręce pierwszą odsłonę działu, w której kluczową rolę pełni komiks kobiecy, reprezentowany w wywiadzie z Olgą Wróbel, autorką *Ciemnej strony księżyca* (Centrala 2012) i rozbudowanego blogu komiksowego *Odmiany masochizmu*, a tym samym bohaterką tego numeru. Specjalnie z tej okazji autorka przygotowała wyjątkową, nigdzie wcześniej niepublikowaną planszę komiksową, którą znajdą Państwo zupełnie na końcu bieżącego numeru! Miejmy nadzieję, że tradycją stanie się, by gość numeru prezentował swoje prace na łamach „Menażerii". Dołożymy wszelkich starań, by tak też się stało.

Jednym z tematów tej odsłony jest komiks kobiecy, miejmy nadzieję, że w przyszłych numerach uda nam się zaprosić pozostałe polskie artystki „female comics".

W kolejnej części prezentujemy trzy rozbudowane recenzje. W pierwszej, dotyczącej jednego z najgłośniejszych wydawnictw zeszłorocznych, a mianowicie *Rycerzy świętego Wita* Dawida B. (Kultura gniewu 2012), Szymon Gumienik rozprawia się z tą obszerną i niezwykle poruszającą lekturą. Czyni to bardzo dogłębnie, mając na uwadze tematykę, jakiej dotyczy ten niezwykle metaforyczny komiks – dorastanie z nieuleczalną i zdradliwą chorobą. Kolejne dwie recenzje, autorstwa Dawida Śmigielskiego (*Opowieści wojenne*, tom 2., Mucha 2012) i mojej osoby (*Crossed*, Avatar 2008-2010) przybliżają sylwetkę autorską genialnego scenarzysty Gartha Ennisa – ukazując jej jasne, jak i mroczne strony.

Życzymy miłej lektury!

Jacek S. Podgórski

POD
OKŁADKĄ



Wywiad intymny

FOT. OLGA WRÓBEL

z Olgą Wróbel o kobiecej stronie komiksu, terapii manualnej i demitologizacji rozmawia Jacek Seweryn Podgórski

Komiks autorstwa Olgi Wróbel jest subiektywną i w pełni dojrzałą próbą zmierzenia się z formą przeniesienia pamiętnika na łamy komiksu. Efektem jest oryginalna nowela graficzna, ilustrująca wydarzenia związane z okresem szeroko pojętego „stanu błogosławionego". Autorka za pomocą dość mrocznej estetyki ilustruje absurdy i komizm atmosfery kreowanej podczas okresu ciąży. Jak sama określa, Ciemna strona księżyca jest atlasem przesądów ciążowych z dodatkiem gagów zaczerpniętych z własnych obserwacji i komentarzy bliskich. Jaka jest ta „ciemna strona księżyca"? Spróbujmy się dowiedzieć.

Nikt wcześniej nie publikował w Polsce tak intymnego komiksu [*Ciemna strona księżyca*, Centrala 2012], a można byłoby pokusić się o stwierdzenie, że i na świecie. Pani nowela graficzna – pozwolę sobie tak nazwać Pani dzieło – zebrała sporą ilość pozytywnych recenzji. Zdaje sobie Pani sprawę, że jest to dość przełomowa praca?

W polskim komiksie historii autobiograficznych jest tak niewiele, że każda właściwie jest przełomowa. Mój komiks i tak trafił do dość licznie reprezentowanej grupy – można go zestawić z albumem Endo [*Projekt: człowiek*, Kultura gniewu 2006 – przyp. JSP] i internetowym cyklem Czwórka na pokładzie Dominiki Węcławek [komiks prowadzony w ramach portalu www.warszawianki.pl – przyp. JSP]. Co do intymności – tworząc ten album nie miałam wrażenia, że szczególnie się odsłaniam. To właściwie tylko pierwsza skórka, którą zdjęłam z cebuli, pod spodem zostało więcej. Samo pokazanie, że ludzie mają nagie ciało, że właściwie SĄ tym ciałem, że się kłócą – to tylko przesunięcie się po powierzchni. W komiksie może wygląda to odważnie, ale w kontekście innych mediów, chociażby literatury, trudno traktować moje wyznania jako akt obyczajowej śmiałości.

Czy można zatem śmiało powiedzieć, że komiks kobiecy jest w Polsce w silnej formie?

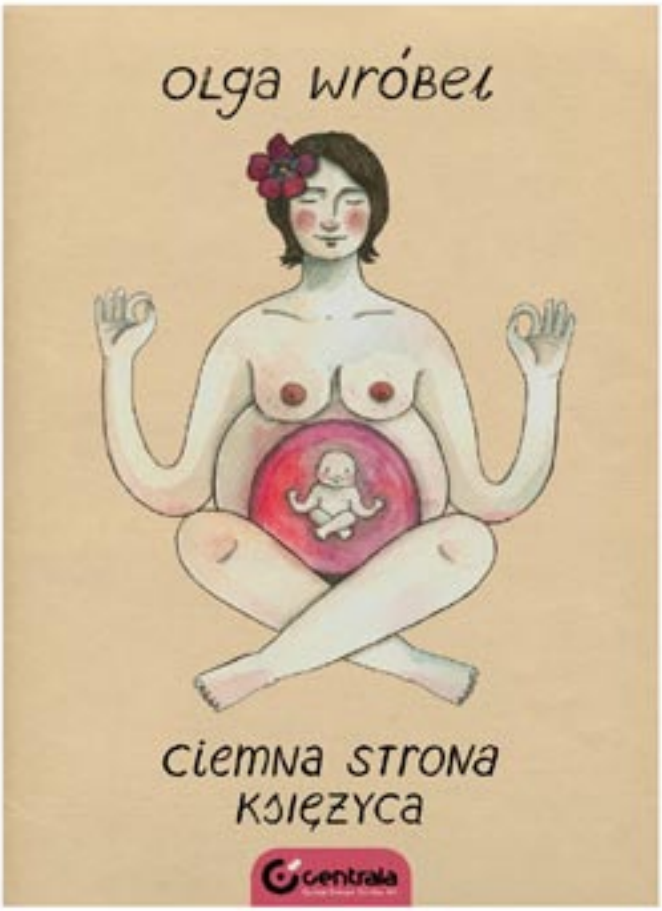
W roku 2012 kobiety były bardzo widoczne na rynku, ukazały się dwie poświęcone ich twórczości antologie. Nie wiem, czy będzie to utrzymująca się tendencja, może po prostu w danym roku skumulowały się komiksy stworzone przez panie. Tak czy inaczej, jako weteranka sprawy komiksu kobiecego w Polsce, jestem zadowolona i czuję, że mogłabym spokojnie złożyć broń. Jest tyle fantastycznie rysujących, widocznych kobiet: Maja Demska, Maria Inez Gul, Agnieszka Szczepaniak, Renata Gąsiorowska… Mogłabym tak wymieniać pewnie z kwadrans. Każda ma własny styl, tworzą rzeczy plastycznie wysmakowane i oryginalne, nie jest to na pewno mainstreamowa kreska i kolory z komputera. I to mnie cieszy najbardziej.

Z notki wewnątrz komiksu można dowiedzieć się, że opisywany okres to czas przemiany, metamorfozy. Czy tworzenie komiksu – pisanie i rysowanie – pozwoliło Pani na zdystansowanie się od problemów życiowych? Jeżeli tak – to jakich? Czy była to jakaś forma terapii?

Przede wszystkim to była terapia czysto manualna. Rysowanie, malowanie, skanowanie, literowanie zajęło tyle czasu, że nie miałam go praktycznie na nic innego. Mam charakter depresyjny i zdarza mi się wpaść w umysłową spiralę wyimaginowanych/antycypowanych problemów. W ciąży łatwo byłoby się w tym pogrążyć, wziąć zwolnienie, leżeć w łóżku i tłumaczyć to swoim wyjątkowym stanem. Regularna praca utrzymywała mnie w pionie. Oczywiście popadłam w drugą skrajność i rysowałam praktycznie do porodu, narzekając, że powinnam jednak w tym łóżku odpoczywać, a nie bazgrolić po nocach przy biurku. Takie podejście też nie jest najszczęśliwsze.

Czy zastanawiała się Pani, jak odbierają ten komiks kobiety i mężczyźni, przygotowujący się do bycia rodzicami – planujący ciąże, czekający na narodziny, itp.? Czy dotarły do Pani jakieś relacje, odczucia?

Słyszałam głównie opinie osób, które mają to już za sobą – były pozytywne i powoływały się na wspólnotę doświadczeń.



Co do znajomych, którzy jeszcze dzieci nie mają, zdania były podzielone, niektórzy się śmiali, a niektórzy nie. Myślę, że mój opis ciąży nie powinien nikogo przerażać – to, że życie nie wygląda jak w kolorowych magazynach jest faktem, z którego istnienia każdy przeciętnie inteligentny człowiek zdaje sobie sprawę, nie zrywam więc żadnej zasłony. Na pociechę mogę powiedzieć, że moja ciąża przebiegała zupełnie prawidłowo – zero komplikacji, idealne wyniki, etc. Wydaje mi się, że to pamiętnik kobiety doświadczającej uzasadnionych lęków o zdrowie swoje i dziecka mógłby być naprawdę wstrząsającą lekturą.

? Mi osobiście podobała się kreacja postaci komentatorów – tzw. „wujków dobra rada" – trochę w konwencji Monty Pythona, a innych – w konwencji krzywego zwierciadła. Ale czy nie jest też tak, że większość tego typu osób tak właśnie wyglądała i „radziła"?

Tak, tym bardziej, że pracuję z osobami sporo starszymi od siebie i trochę tych rad usłyszałam, a potem wręcz je prowokowałam, myśląc, że świetnie wypadną w komiksie. Nie robię tego do końca złośliwie – rozumiem, że ludzie wypowiadają te złote myśli głównie z sympatii, a poza tym mają okazję poczuć się ważnymi uczestnikami wydarzeń dzięki swojemu doświadczeniu, nawet, jeżeli jest ono wyimaginowane. Wiele rzeczy doprowadza mnie do pasji, ale do takich „mądrości" mam akurat cierpliwość. Kiedy teraz słyszę, że córka płacze, bo pewnie chce na ręce, pozwalam jej dalej płakać na podłodze i tyle. Trzeba robić swoje, słuchać sobie tych wujków, ale samemu być daleko poza ich zasięgiem.

? Jedna plansza utkwiła mi w pamięci i zapewne wszyscy podczas lektury Ciemnej strony na nią czekali, a mianowicie „poród". Pierwsze skojarzenie – proszę nie zrozumieć mnie źle – to niebo po apokaliptycznej katastrofie, przepełnione odpadami radioaktywnymi (kurzem) z przebijającym się szkarłatem atomowego słońca. Dlaczego w tej formie postanowiła Pani przedstawić poród? Dlaczego taka ekspresja – wymiar cielesny jest tutaj niezwykle podkreślany?



Źródło ilustracji: OLGA WRÓBEL / www.odmianymasochizmu.blogspot.com

To bardzo ładna interpretacja! Dla mnie ta plansza jest obrazem pęknięcia w aspekcie fizycznym – stąd czerwień – ale przede wszystkim emocjonalnym. Poród jest tym momentem, po którym życie już nie będzie takie jak przedtem. Nie można się wycofać. Zależało mi na metaforycznym oddaniu tego przeczucia – planszę rysowałam jeszcze przed Dniem Zero i w procesie składu do druku wpisałam tylko odpowiednie dane. Tutaj wracamy też do kwestii poruszonej w pierwszym pytaniu. Poród był dla mnie na tyle własnym przeżyciem, że nie chciałam go rysować tak, jak się wydarzył. Swoje głębokie emocje i anegdotki ze szpitala zostawiam w rodzinie.

Pamiętnik kończy się dość niespodziewanie, wiele kwestii pozostało otwartych. By poruszyć jedną z nich, spytam: jak zaczęła Pani postrzegać swoje ciało po okresie ciąży i jakie emocje zaczęły odgrywać kluczową rolę w Pani życiu?

Podstawową emocją było absolutne przytłoczenie nowymi obowiązkami i świadomość, że to już na zawsze – że moje uporządkowane życie, w którym do północy rysowaliśmy z mężem przy czystych biurkach, wychodziliśmy z psem na spacer, a w soboty jedliśmy twaróg, wróci może za jakieś 20 lat, a teraz muszę być na każde zawołanie i nie ma, że już wszystko umiem – ile razy nauczyłam się czegoś o potrzebach dziecka, one gwałtownie się zmieniały i moje z trudem zdobyte doświadczenie było bezużyteczne. Tak jest do tej pory, ale powoli się z tym godzę. W tym wszystkim moje cenne ciało zostało po macoszemu odstawione na boczny tor, gdzie schudło i w sumie wyładniało. Teraz targam je regularnie na basen, gdzie zbieram refleksje do nowego albumu poświęconego właśnie kwestiom postrzegania swojej fizyczności.

Czy uważa Pani, że komiks ten może stanowić pewnego rodzaju poradnik zdroworozsądkowego myślenia na zasadzie: „ja tak miałam, wy też będziecie tak mieć – spokojnie, niech ludzie mówią, co chcą, robią, co chcą – będzie dobrze, to naturalna kolej rzeczy, więcej pokory, dystansu i cierpliwości…”?

Tak. Dokładnie taką miałam nadzieję, rysując go. Zależało mi na tym bardziej niż na „demitologizacji macierzyństwa”, bez którego to terminu nie może się odbyć żadna rozmowa o Ciemnej stronie księżyca. Nie jestem skupiona na przekazie „patrzcie na moje wyjątkowe doświadczenia!”, bardziej na próbie znalezienia uniwersalnego w indywidualnym. Samej mi to pomaga, w napadach paranoi zawsze wypisuję/wydzwaniam do znajomych, żeby upewnić się, że te osoby, które ja postrzegam jako zdrowe i zrównoważone, też mają cięższe momenty.

Czy rozważa Pani napisanie kontynuacji? Materiału zapewne znajdzie się sporo?

Materiału jest masa, i to codziennie, od pół roku siedzę w domu i czasu na refleksje mam aż za dużo. Ale przeczytałam ostatnio *Macierzyństwo non-fiction* Joanny Czeczott-Woźniaczko [Wydawnictwo Czarne 2012 – przyp. JSP] i moje przemyślenia są podobne. Po drugie – czuję, że kontynuacja byłaby samograjem i trudno byłoby mi potem pozbyć się łatki „autorka komiksów o dzieciach”. Stworzenie komiksu wymaga mnóstwo czasu. Wolę opowiedzieć nową historię, niż tkwić w nawet najcieplejszej szufladce.

Kilka słów na zachętę:

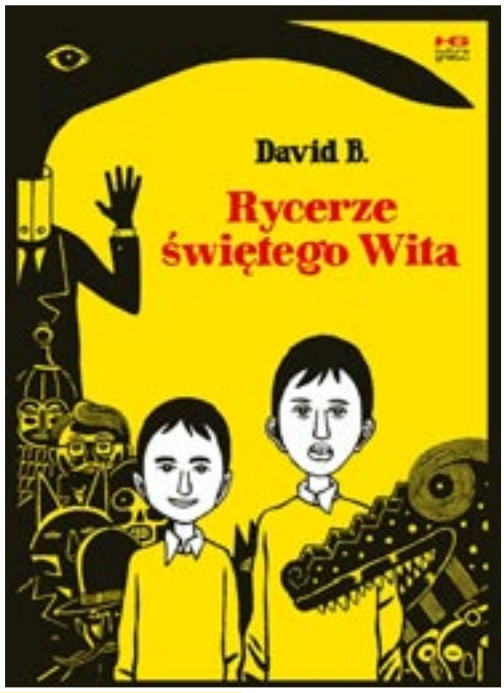
Dla zainteresowanych szeroko pojętym komiksem kobiecym warte polecenia są prace „przepytanej” Olgi Wróbel, publikowane na jej blogu: „Odmiany Masochizmu” (http://odmianymasochizmu.blogspot.com) oraz Agaty „Endo” Nowickej (http://agatanowicka.com), m.in. *Projekt: człowiek* (Kultura Gniewu 2006), a także wiele innych. Wspomniane w wywiadzie antologie to: *Polski komiks kobiecy*, pod redakcją Kingi Kuczyńskiej (Timof i cisi wspólnicy 2012), oraz *Polish Female Comics. Double Portrait* (Centrala 2012). Sukcesem okazała się wydana zeszłego roku praca autorstwa Agaty Wawryniuk *Rozmówki polsko-angielskie* (Kultura Gniewu 2012). Do drobniejszych form można zaliczyć zbiory *Złote Pszczoły. Żydzi międzywojennej Warszawy. Antologia komiksów* (Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie 2011) i *Dziewczyny też rysują komiksy!* (Stowarzyszenie Arteria 2010). Natomiast jedną z najbardziej znanych działaczek na polu „female comics” jest Sylwia Kaźmierczak, autorka blogu „ComixGrrrlz” (http://comixgrrrlz.pl).

Rycerze i męczennicy

Autor: Szymon Gumienik

Na pewno wielkim truizmem będzie, jeśli napiszę, że każdy z nas stoczył w swoim życiu jakąś walkę. I nieważne czy była to bezsensowna i mało istotna potyczka, stoczony o dobrą sprawę bój, czy też długoletnia wyniszczająca wojna – banał pozostanie banałem. Inna sprawa, że walka jest wpisana w ludzką naturę od zarania dziejów, a człowiek bez walki – tak samo jak bez miłości – po prostu wiotczeje i gnuśnieje, a w ostateczności umiera (z reguły na wielu poziomach). To kolejny wytarty frazes, ale już chyba nie dla wszystkich, a już na pewno nie dla Davida B., który kod walki wpisał w *Rycerzy świętego Wita* i uczynił z niego sens swojego życia i swojej pracy.

Jego autobiograficzny komiks można nawet nazwać wojenną epopeją, opowiadającą zarówno o bitwach historycznych, dziesiątkujących całe społeczności jak i tych prywatnych, wyniszczających rodziny i piętnujących jednostki. Głównym wrogiem Davida stała się epilepsja, która w wieku 11 lat dotknęła jego starszego brata. I to z nią właśnie na kartach Rycerzy świętego Wita zmaga się cała rodzina Beauchardów (tajemniczy inicjał autora). Epilepsja to dla nich zło, które wtargnęło nieproszone w ich życie i które trzeba wszystkimi dostępnymi środkami zwalczyć, pokonać i zdobyć niczym szczyt – sugeruje nam to tytuł oryginału, który w dosłownym tłumaczeniu znaczy tyle co „wspinaczka na górę zła", a w wolnym – „wspinaczka na epilepsję" (haut-mal w języku francuskim to padaczka, epilepsja). Szczytu, który na powracających kadrach pojawia się jako metafora, nie udaje się, niestety, zdobyć, szczęśliwego zakończenia także nie ma – w tym kontekście opowieść Davida zamienia się w pełen żalu i gniewu pamiętnik skazanej na porażkę walki – ale liczy się tu przede wszystkich droga, którą i autor, i czytelnik musi przejść, aby dostąpić na jej końcu swego rodzaju oczyszczenia. Czy warto w ogóle tak publicznie wybebeszać swoją bezsilność, otwierając na oścież drzwi szafy pełnej rodzinnych „trupów"? W taki sposób – zawsze! Nie jest to bowiem melodramat czy łzawy zapis choroby i bezsilności wobec niej najbliższych, ale prawdziwy i szczery do bólu głos z frontu, dziennik bezustannego stawiania oporu i relacja walki z własnymi demonami, które w konsekwencji okazują się nie takie straszne, jak inni je malują. W ostateczności każdy poznaje je na swój sposób i w stosownym czasie (tak samo jak sens każdej opowieści).



RYCERZE ŚWIĘTEGO WITA
DAVID B.
KULTURA GNIEWU
2012

Historia Davida B. pełna jest wszelkiej maści demonów oraz wielu odcieni jego wściekłości, które usypiają tylko wtedy, gdy rysuje i snuje swoje opowieści. To jego antidotum na epilepsję brata i własną bezsilność. Nic więc dziwnego, że ta historia w ogóle powstała i że ma właśnie taką a nie inną wymowę – mroczną, pełną ciemnej tonacji, nie pozostawiającą złudzeń. Mówi to też nauczyciel Davida, Georges Pichard, który w rysunkach chłopaka widzi głównie niepokój i strach. Można powiedzieć, że życie Davida w zatrważający sposób ukształtowało jego twórczość – innej perspektywy dostać zatem nie mogliśmy, zresztą nikt chyba tego nie oczekiwał po Uzbrojonym ogrodzie, jego wcześniejszym komiksie wydanym przez „Kulturę Gniewu".

David wraz z rozwojem wydarzeń zakłada na siebie coraz szczelniejsze zbroje, by uciec jak najdalej od choroby brata i ran zadawanych mu przez życie. Z jednej strony otrzymuje twardy pancerz i kontrolę, z drugiej oddala się od najbliższych – walczących i opancerzonych na swój sposób. Nawet młodsza siostra Florence, która, wydawałoby się, znajduje się w podobnej do Davida sytuacji, zamiast wymieniać się wsparciem, ucieka w świat poezji i samotnych spacerów. Można powiedzieć, że tylko tak oboje są w stanie poradzić sobie z codziennością – wybierają rzeczywistość wykreowaną przez samych siebie, którą zamieszkują osobliwej proweniencji postacie: u Florence będą to duchy zmarłych motocyklistów, u Davida z kolei Czyngis-han, samuraje, duch dziadka

z głową ptaka czy w końcu święta trójca diabłów – wiernych towarzyszy niedoli, z którymi zawsze można beztrosko porozmawiać. W pewnym momencie i oni znikają, aby David mógł samotnie pokonać swoje słabości (to ostatnia część komiksu, najbardziej niespokojna, nerwowa i chyba przez to najmocniejsza).



Fantazmaty, urojenia, sny oraz metafory w pewnym sensie zawłaszczają cały realistyczny plan komiksu, który sam staje się fantasmagorią, tym drugim ze światów. Co prawda poszczególne plansze Rycerzy odnoszą się do konkretnych wydarzeń z kart historii, uznanych i obowiązujących w latach '60 i '70 XX wieku pojęć czy znanych nam postaci, jednak wszystkie one powoli toną w gąszczu niejasności i bezczelnego wręcz nieprzystosowania do losów i piętna rodziny Beauchardów. Czytelnik wręcz gubi się, podobnie jak młody David, w pełnym nadpisanych faktów i idei labiryncie, w kontekście, w którym przyszło im się pojwić– jeżeli okazały się bezużyteczne, od razu stają się nieistotne, wyrzucone na pola poległych. Rodzice, próbując pokonać chorobę dziecka, czepiają się każdej możliwości i uruchamiają zastępy różnej maści szarlatanów – od mistrzów makrobiotyki i zdrowotnych masaży, przez spirytystów, adeptów szkoły steinerowskiej, magnetyzerów, kapłanów voo doo, aż do katolickich egzorcyzmów, Lourdes i sekty różokrzyżowców. Cały ten cykl zmienia się w swoisty korowód śmierci – obumierania nadziei, wolności i życia w ogóle.



Nieustannie podejmowaną przez rodzinę walkę, korzystanie z różnorodnych strategii oraz broni, wybieranie coraz to innych rycerzy gotowych odciąć głowę smoka czy ogólnie szarpaną narrację w pełni odzwierciedla rysunek, który w zależności od sytuacji zmienia się formalnie. Co prawda jest to zabieg niewidoczny dla „niekomiksowego" oka, które może nie zarejestrować stylistycznych cięć autora i zmian początkowej charakterystycznej „cartoonowej", trochę groteskowej kreski, jednak podświadomie wzmacnia on odbiór całej historii. Raz autor wzmacnia światło, zarysowując tylko niektóre elementy, to znowu operuje wyłącznie czernią, grą cieni, aby wzmocnić wymowę danej sceny i zmusić nas do wytężenia wyobraźni. Raz



preferuje proste kadry, zbudowane na zasadzie kontrastu, to znowu pojawiają się abstrakcyjne obrazy, jeszcze innym razem odznaczające się misternym kunsztem plansze z wielością szczegółów i odcieni szarości. Gdzieniegdzie pojawia się też kreska typowa dla rysunku węglem czy ołówkiem, jak również typowa i z wielką pieczołowitością odwzorowana technika drzeworytu czy konwencja emblematu. Nie jest to może zabawa formą na miarę *Pinokia* Winshlussa, ale wielość stylistyk zaproponowana przez Davida B. jest tak samo fascynująca i frapująca. Co najważniejsze i co warto podkreślić raz jeszcze, jest dokładnym odzwierciedleniem treści, prowadzonej narracji, przez co czytelnik ma świadomość obcowania z dziełem kompletnym.

Rycerze świętego Wita to wojownicy i męczennicy w jednym, bo dobrze wiedzą, że walczą w przegranej sprawie. Wiemy to też my, ale i tak wchodzimy w ich szeregi z podniesioną klingą. Tylko niekiedy ją opuszczamy, czując chęć powrotu do czasu przed całą tą wojną i wędrówką na szczyt, by za chwilę znowu ją podnieść, nie znajdując jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: „czy w ogóle kiedykolwiek było jakieś przedtem"? Dlatego właśnie ten komiks pozostawia w nas trudne do zdefiniowania, ale zarazem nieodparte wrażenie żalu i świadomość nieodwracalnego.

Dlatego jest tak dobry.

I jeszcze jedno: David B. swoją pracą utwierdził mnie w przekonaniu, że autobiografizm najlepiej sprawdza się w komiksie – o ile książki czy filmy eksplorujące ciekawe życiorysy są dla mnie z reguły nieznośnie nudne, o tyle najlepsze komiksy należą właśnie do tego nurtu.

Zródło ilustracji:
WWW.KULTURA.COM.PL

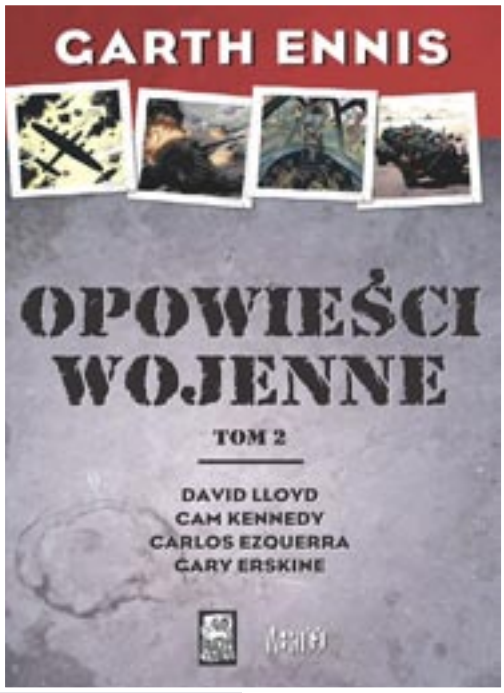
Ofiary losu, żołnierze, superbohaterowie

Autor: Dawid Śmigielski

Mamy szczęście żyć w czasach, w których tworzy Garth Ennis. Autor znakomitej serii *Kaznodzieja* (Egmont 2002-2007), która przyniosła mu rozgłos i jest jego opus magnum, nie spoczął na laurach. Ten wybitny scenarzysta stworzył niedługo potem Opowieści wojenne, niezwykle barwny fresk, podzielony na osiem historii rozgrywających się w czasach II Wojny Światowej, której Ennis jest pasjonatem. W Polsce Opowieści wojenne zostały wydane przez wydawnictwo Mucha Comics. Drugi tom tego komiksu ukazał się jesienią ubiegłego roku.

Opowieści wojenne przenoszą czytelnika w niemal każdy zakątek świata, w którym szalała II Wojna Światowa. Bohaterami historii napisanych przez Gartha Ennisa są żołnierze wykonywujący rozkazy swoich podwładnych – pospolite mięso armatnie. Twórca Kaznodziei nie skupia się na wielkich bitwach tamtego okresu jak Stalingrad czy Normandia. Słynne batalie przeszły do historii, należą do niej i generałów wydaje się mówić Ennis. Cała reszta - znój, głód, ból, cierpienie, poświęcenie, śmierć, przynależy do podwładnych.

Garth Ennis znany jest ze swojej niechęci do superbohaterów ubranych w kolorowe kostiumy i posiadających nadludzkie zdolności. Taki stan rzeczy może wynikać z tego, że twórca *Hitmana* (Mandragora 2002; 2004) widzi superbohaterów w żołnierzach, a w szczególności w pilotach. To właśnie tej grupie wojowników poświęcone są dwie, z czterech opowieści wojennych, a sami piloci i ich maszyny obecne są w pozostałych epizodach. To ludzie, których od innych odróżnia jeden, lecz bardzo istotny szczegół – potrafią latać. Herosi za sterami swoich maszyn toczący walki pod nieboskłonem świata z wrogiem równym sobie często decydując o losach wojennych kampanii. Co ciekawe Ennis nie wartościuje lotników na dobrych i złych. To grupa wyjątkowa, która często szanuje swojego przeciwnika bardziej niż swoich przełożonych. Taki respekt doskonale uwidacznia się w historii *J jak Jenny*, kiedy niemiecki oficer Luftwaffe odwiedza rannego sierżanta Starka należącego do załogi tytułowego bombowca rozbitego na terenie Rzeszy. Opowieść znakomicie koresponduje z filmem *Mephis Belle* Michaela Caton-Jonesa (1990).



OOWIEŚCI WOJENNE TOM 2
GARTH ENNIS, DAVID LLOYD, CAM KENNEDY, CARLOS EZQUERRA, GARY ERSKINE
MUCHA COMICS
2012

W historii *Sępy* rozgrywającej się w czasie hiszpańskiej wojny domowej, którą można uznać za wstęp do konfliktu Hitler – reszta świata, jednym z czworga głównych bohaterów jest niemiecki lotnik Joachim Reinert. To jedyna postać, która bierze udział w wojnie, nie dla samej wojny, dla ideologii czy z rozkazu. Po prostu chce latać, bo latanie jest wolnością. Można napisać, że Joachim jest naiwny, ale to bohater wierny sobie aż do samego końca lotniczej kariery. *Bohaterem Archangielska* jest Jamie MacKenzie - przykład ofiary losu nie radzącej sobie w życiu prywatnym. Wieczny pesymista, który jedynie za sterami samolotu czuje się pewnie. Zostaje oddelegowany do niemal samobójczej misji i staje się superbohaterem ratującym aliancki konwój płynący do Związku Radzieckiego przed zakusami niemieckiego lotniska.

Drugi tom *Opowieści wojennych* uzupełnia historia *Rozbójnicy*. Ennis opowiada o brytyjskich jednostkach specjalnych działających w afrykańskiej kampanii. Specjalnie przeszkolona grupa powoduje na tyłach niemieckich wielkie straty. W cywilu mogą robić wszystko, ponieważ są jednymi z tych, których trudno zastąpić. W przeważającej części to po prostu psychopaci, którzy uwielbiają swoją robotę. Również w tej opowieści znaczącą role odgrywa lotnictwo, które w pewnym momencie wymierza karę za pychę dowódcy rozbójników.

Warstwa graficzna komiksu jest dużym sukcesem, przy tym należy zaznaczyć, że za każdym razem idealnie zgrywa się ona ze scenariuszem. Historie są znakomicie narysowane, a jeszcze lepiej pokolorowane. David



Lloyd i Pamela Rambo wyśmienicie oddali atmosferę nalotów bombowych w *J jak Jenny*. Ich plansze nadają opowieści piekielny klimat zarówno w czasie bombardowań jak i świetnie narysowanej scenie rozgrywającej się w kantynie, w której bohaterowie skąpani są w słabym świetle płomieni paleniska. Ezquerra i Moose Baumann w *Sępach* stworzyli ponurą wizję Hiszpanii, w której na próżno szukać słońca. Sekwencja zniszczenia Guernicy jest autentycznie przerażająca. Fragment tego komiksu przypomina atmosferą animacje ilustrującą utwór *Goodbye Blue Sky* w filmie *The Wall* Alana Parkera (1982). Baumann pokolorował także prace Cama Kennedy do *Rozbójników*. Oboje musieli sobie poradzić z mało ciekawym pustynnym krajobrazem i wyszli z tego zadania obronną ręką. Gary Erskine i Paul Mounts w *Archangielsku* stworzyli plansze przepełnione nostalgią, idealnie uchwytując osamotnienie głównego bohatera.

Konsekwentne kadrowanie (3-6 kadrów na stronę) pomogło uniknąć chaosu i przerostu formy nad treścią. Wszystkie plansze są czytelne i zrozumiałe. Nieco inne kadrowanie występuje w opowieść *Sępy*, w której kadry często nachodzą na siebie, tym samym oddając gęstą atmosferę jaka ma miejsce w leju po bombie, w którym skryło się czterech bohaterów. Każda artysta ma swój charakterystyczny styl. David Lloyd to rysownik, który nie skupia się na otoczeniu. Najważniejsi są ludzie i samoloty. Odważnie operuje plamami czerni tworząc zachwycające, stonowane widowisko. Cam Kennedy znany jest ze swojej ekspresyjnej, kanciastej kreski. Tutaj jakby jego styl nieco złagodniał. Carlos Ezquerra doskonale oddaje mimikę twarzy, w jego rysunkach można zauważyć dużo czerni, która zlewa się z otoczeniem. Każdy kadr wypełnia groza sytuacji. Gary Erskine zaś posługuje się bardzo realistyczną kreską, miejscami opierającą się wręcz o fotorealizm.



Z *Opowieści wojennych* zewsząd wyłaniają się bezsens i absurd działań wojennych. Życie człowieka jest nic nie warte. Żołnierze trafiają do eksperymentalnych projektów nie mogąc się sprzeciwić. Psychopaci działający po „naszej" stronie są tolerowani, a nawet wielbieni. Pilot w chaosie bitw powietrznych często w zupełnym przypadku strzela do swoich kolegów albo bombarduje cywilne obszary tylko dlatego, że nie ma lepszego sposobu na walkę z wrogiem. Bohaterowie otoczeni są przez niekompetentne dowództwo, biurokrację, karierowiczów i mnożące się pytania bez odpowiedzi. Za co walczą, po co walczą, za co giną i dla kogo? Jednym z wyjść tej sytuacji się moralności na rzecz przemocy tak jak w *Rozbójnikach* albo poświęcenie się ideologii faszystowskiej lub komunistycznej, której reprezentantami są odpowiednio Irlandczyk i Anglik w *Sępach*. Jednak niemal każde wyjście nawet to z pozoru najlepsze, prowadzi do śmierci, zaś to najtrudniejsze, przewrotnie, może okazać się zbawieniem. Garth Ennis w najwyższej formie.



Zródło ilustracji:
WWW.MUCHACOMICS.COM

Zły do szpiku kości

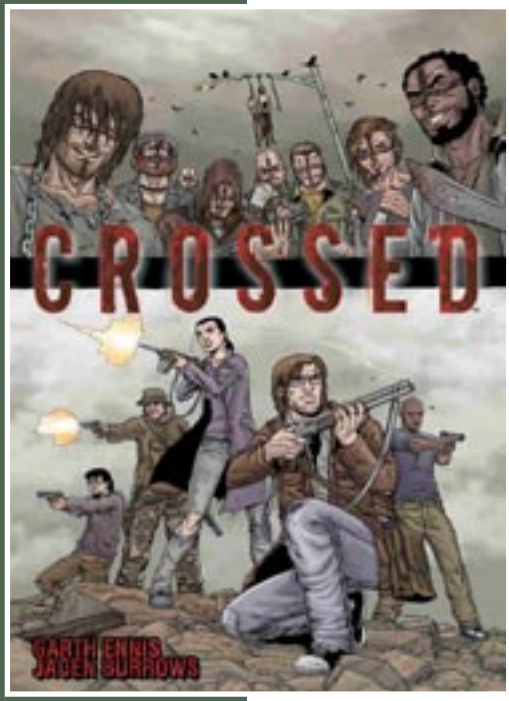
Autor: Jacek Seweryn Podgórski

Często uważa się, że dobry artysta, czy też pisarz powinien posiadać swoją mroczną stronę – taką, która pozwala mu na odreagowanie. Garth Ennis uznawany jest w środowisku scenarzystów komiksowych za jednego z najbardziej oryginalnych, a zarazem płodnych twórców. Ten irlandzki artysta znany jest ze swojego dystansu do religii (obecnego w serii *Preacher*, czy też serii *Hellblazer* dla Vertigo), czarnego humoru, uwielbieniu dla klaustrofobii i utopii (świetna kreacja w serii *Judge Dredd*, początkowo dla Fleetway, potem dla Rebellion), niechęci do „fruwających trykotów" (parodia superherosów w postaci serii *The Boys*, dla Wildstorm a potem już Dynamite Entertainment). Co jeszcze preferuje Ennis? Przede wszystkim, by jego rysownik uwielbiał eksploatować wszystko, co związane z tematyką gore i slasher!

I taka jest też moim zdaniem seria Crossed, jest to jedno z mrocznych wcieleń scenarzysty. A przy pomocy kreski Jacena Burrowsa przekaz jest dostatecznie mocny i bezpośredni. Fakt, że seria została wydana przez Avatar Press mówi jasno, że autorzy, by zobrazować swe fantazje, nie będą się patyczkować z jakąkolwiek konwencją i trzymać ram przyzwoitości.

Dla niewtajemniczonych warto powiedzieć, że Avatar Press to amerykańska oficyna specjalizująca się w tytułach mocno osadzonych w stylistyce zombie horror i gore (np. serie z dopiskiem *George A. Romero's* czy *H.P. Lovecraft's*). Ale posiadająca też w swoim katalogu komiksy w klimacie steampunk i tytuły samego mistrza Alana Moore'a.

Płaszczyzna graficzna serii nie jest jej niezwykle silną stroną. Kreska Jacena Burrowsa jest schludna i przejrzysta, pozwala na łatwe śledzenie kadrów i wczytywanie się w treści. W *Crossed* nie odnajdziemy żadnych fotorealistycznych wodotrysków czy kolaży. Otrzymujemy brutalną opowieść zilustrowaną w wyrazisty sposób. Jak już wcześniej powiedziałem, jednym z upodobań Ennisa jest szeroko pojęta estetyka gore. Burrows obrazuje wszystkie aspekty tej mrożącej krew w żyłach historii. Nie warto zagłębiać się w detale, tylko otworzyć zeszyt serii, czy też wydanie zbiorcze – szczegółowość prac rysownika będzie uderzająca. Co do pozostałych kwestii technicznych, warto wspomnieć, że każdy numer posiada kilka wariantów okładki. W sumie wydaje się to być dość irytującym zagraniem wydawniczym, bo numery z limitowaną okładką są droższe. Osobiście uważam, że jest to kwestia wyboru – kolekcjoner może wybrać wersję limitowaną, z certyfikatem (płacąc za egzemplarz znacznie więcej, otrzymuje 1 z 250. specjalnie zaprojektowanych wariantów), a zwykły czytelnik zadowoli się standardową okładką (zaoszczędziwszy przy tym sporo na następne numery).



CROSSED VOLUME 1
GARTH ENNIS, JACEN BURROWS
AVATAR PRESS
2010

Wracając do wątku głównego. *Crossed* opowiada historię czternastu osób ocalałych z epidemii choroby, która powoduje u swych ofiar żądzę realizacji swych najskrytszych „złych myśli". Nosiciele wirusa (choć autor bezpośrednia nie określa źródła plagi), są żywymi istotami odznaczającymi się przybierającą kształt krzyża wysypką na twarzy. Pewne jest, iż zaraza rozprzestrzenia się za pomocą płynów ustrojowych (śliny czy nasienia). Zarażeni nie są istotami otępiałymi, typowymi zombie, lecz maniakalnymi psychopatami szukającymi intensywnie potencjalnych ofiar. Mając świadomość swojej „wyjątkowości", doskonale ją wykorzystują. Organizują się, by gwałcić, rozrywać i zadawać niewyobrażalne cierpienia, ku własnej uciesze, i aby rozprzestrzeniać plagę.

Ukrzyżowani w pełni wpasowują się w szekspirowskie stwierdzenie, że „w tym szaleństwie jest metoda". Cechuje ich niezwykła samokontrola i wybiórczość zachowań. Adaptują się do środowiska i przeistaczają je w to, co najgorsze – groteskę normalnej rzeczywistości. Dekonstruując wszelkie ustalone normy i prawa, wykpiwając porządek i ład, ukazują prawdziwe ludzkie oblicze.



Śledząc losy bohaterów serii, dowiadujemy się, że wszelkie rządy upadły, armia nie poradziła sobie z plagą zainfekowanych, a nasi bohaterowie zdani są tylko na siebie. Przemierzając kolejne krainy kierują się w stronę Alaski. Podczas podróży widzą naznaczony plagą krajobraz, zdominowany przez amok, gwałt, kanibalizm i przeprowadzane dla czystej zabawy tortury. Grupa ocalałych napotyka w swojej długiej wędrówce wiele przeszkód, a tocząc walki z zarażonymi, czy spierając się ze sobą, kurczy się. Bohaterowie giną w różnych okolicznościach – w wyniku głupiej wiary w cuda (ojciec próbuje uratować unieruchomioną żonę i dziecko obsypując ich solą kuchenną, która wg niego uratuje ich przed przeklętymi), niepotrzebnego bohaterstwa (wdowiec próbuje odkupić swoje winy stając przeciwko wielkiej grupie napastników), czystego przypadku i głupoty (upadek ze zrujnowanego budynku, zbłąkana kula wystrzelona dla zabawy).

Wydawać by się mogło, że epidemia czystego szaleństwa doprowadziła do upadku wszelkiego człowieczeństwo na skalę światową. Nic bardziej mylnego, mimo wielu niepowodzeń i przeszkód, grupa trwa w wędrówce, poznaje siebie, podejmuje wyzwania i wzmacnia swoje więzi, aż ostatecznie zdradza własne mroczne sekrety i lęki. To właśnie te drobne grzeszki i bolączki są najbardziej przerażające.
W obliczu śmiertelnego zagrożenia grupa musi podejmować działania drastyczne i wręcz nieludzkie. Do takich sytuacji należą m.in. pozostawianie zranionych, czy też niezdolnych do dalszej wędrówki na pastwę polujących na ludzi zarażonych; czy egzekucja odnalezionej grupy przedszkolaków, po decyzji, iż taki los będzie dla nich lepszy, niż skonanie z rąk splugawionych chorobą itd. Te, jak i wiele innych sytuacji łamią psychikę w sposób stopniowy, przez co poszczególni bohaterowie stają się oziębli i wyzbyci emocji, a niektórzy pokazują swoje mroczne oblicze. Jeden z grupy okazuje się być sadystą, który pod przykrywką miłego staruszka seryjnie mordował młodych mężczyzn. W obliczu poznanego faktu, grupa ustala bez słów co należy uczynić. Nad ranem liczebność wędrujących ulega uszczupleniu.

Śledząc losy ocalałych napotykamy jeden z ulubionych motywów, jaki często przedstawia Ennis. Mianowicie pojawia się przypowieść o kapitanie Armii Stanów Zjednoczonych, przedstawiona w postaci odnalezionego pamiętnika, opisującego ostatnie dni życia żołnierza. Podczas podróży grupa chroni się w rozbitym śmigłowcu, gdzie znajduje, oprócz spokojnego kąta na sen, ciało żołnierza, a przy nim pamiętnik spisany w Biblii. Uchyla on rąbka tajemnicy ostatnich dni żołdaka, który z racji ran i złamań stanowił balast dla swego oddziału. Pamiętnik ukazuje jego rozterki podczas fatalnej misji, ale i wiarę w braterstwo. Rolą tej przypowieści nie ma być utwierdzenie bohaterów w beznadziejności ich sytuacji, w przekonaniu, że wszystkim przyjdzie tak skończyć. Żołnierz, którego zwłoki odnaleźli, miał świadomość powagi sytuacji, ale mocno wierzył w słuszność

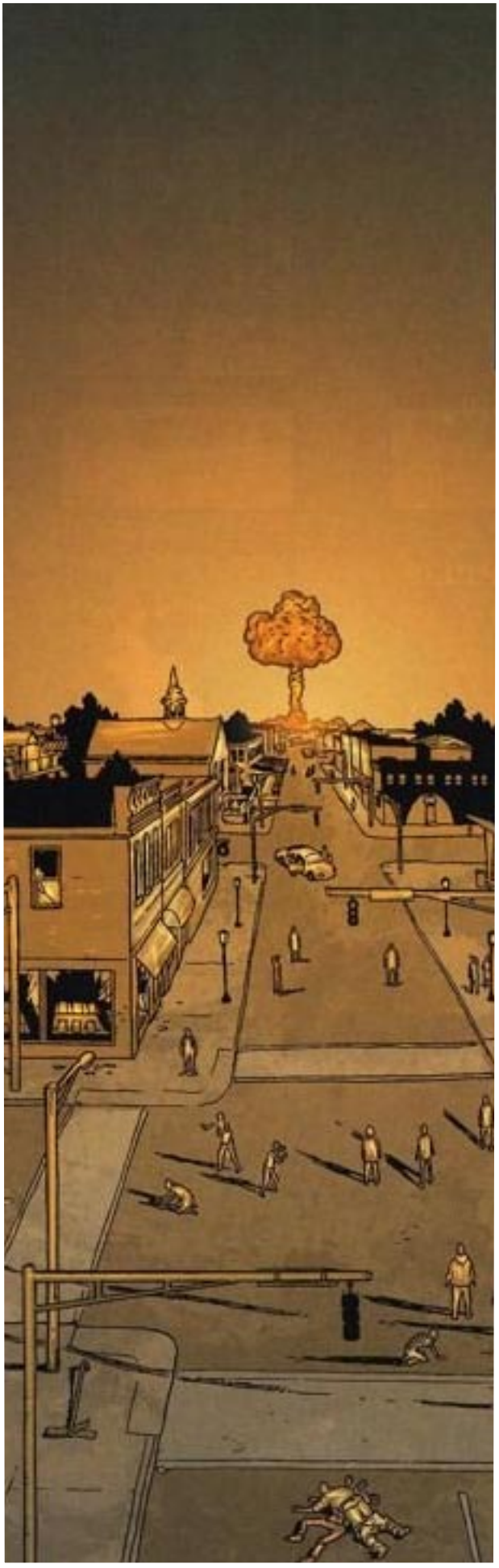


ideałów współdzielonych ze swymi kolegami. Pozostał dobrym żołnierzem, mężem i ojcem.

Pierwszy tom autorstwa Ennisa kończy się w momencie, kiedy to dwójka najbardziej rozważnych postaci dociera wraz z psem do mroźnych terenów Alaski. Z jednej strony jest to dość dziwne zakończenie zainicjowanego cyklu (zakończenie otwarte, wręcz westernowe). Z drugiej, to niedopowiedzenie ma, jak wskazywał sam Ennis, pozostawić odrobinę nadziei, by czytelnik uwierzył w dobrą przyszłość postaci, zbudowaną na braterstwie i zrozumieniu. Ennis chciał także technicznie zaznaczyć swój koniec z serią *Crossed*, pozostawiając ją swoim kolegom z wydawnictwa. Przez to seria doczekała się one-shota, dwóch spin-offów i jednej regularnej serii oraz komiksu internetowego.

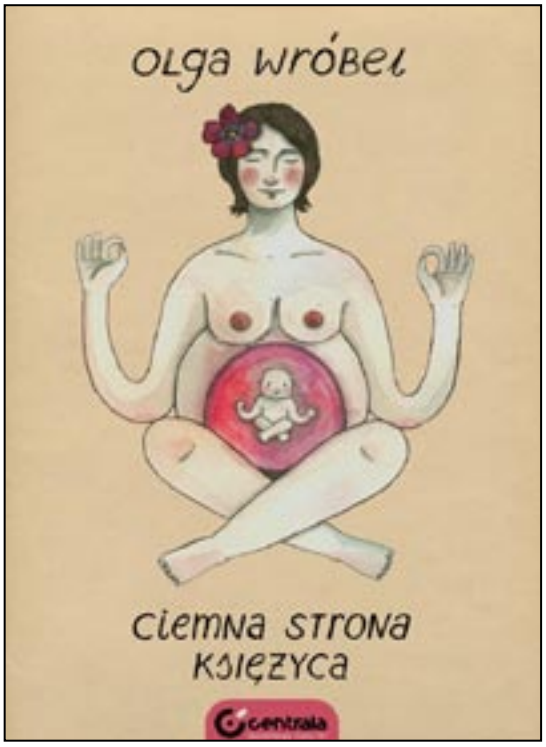
Podsumowujące pytanie nasuwa się samo: co tak właściwie stanowi o wyjątkowości serii Ennisa? Niby mamy tutaj powielenie znanej konwencji zombie-survival horror, oprawionej za pomocą schludnej grafiki i koloru, ale co jeszcze? Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że seria jest dość ciekawą odpowiedzią Ennisa na serię Roberta Kirkmana *The Walking Dead* (osadzonej w klasycznej konwencji zombie-survival). Z kilkoma różnicami – Ennis nie ma zamiaru wiecznie bawić się kolejnymi numerami serii. Za pomocą zręcznych zabiegów narracyjnych i talentu Burrowsa, obrazuje swoją wizję apokalipsy w kilku numerach. Poziom grozy, groteski i absurdu sięga miejscami nieokreślonej bliżej skali po to, by ukazać banalność zła. Zła obecnego nie w rozszalałych skażonych, którzy są przecież chorzy i nic ich już nie uratuje, ale w zdroworozsądkowo myślących ludziach, którzy przez swoje drobne grzeszki stają się tego zła czystą postacią. Naznaczeni plagą są przez Ennis usprawiedliwieni i uniewinnieni – są męczennikami, ofiarami i zarazem katami z przymusu.

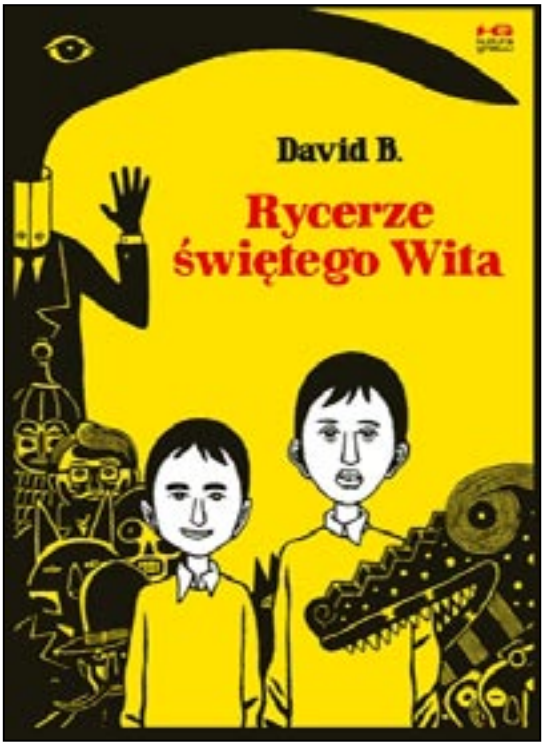
Dlaczego warto ruszać coś, co jest kalką dobrze znanej i wyeksploatowanej konwencji? Wydaje mi się, że należy przeczytać i dosłownie zobaczyć jakiś tytuł, gdzie walka z szaleństwem nie jest kwestią jednostki, ale wielu różnych osób. Właśnie *Crossed* pasuje tutaj idealnie. Zarówno w sferze fabularnej, jak i ilustracyjnej stanowi dzieło niezwykle wymowne. Nie jest to po prostu następna ilustracja o bohaterze przekraczającym i łamiącym kolejne granice ludzkiej moralności. Zadanie jakie postawił sobie Ennis, to dotkliwie wstrząsnąć czytelnikiem i wryć w jego psychikę następującą maksymę: „odwrotu nie ma, to właśnie Ty przekroczyłeś kolejną granicę". Ennis chce uczyć, że zło jest w nas i trzeba nam ten fakt ciągle przypominać i uświadamiać. Czyni to fachowo, wykorzystując do tego swoje medium, którym jest komiks.

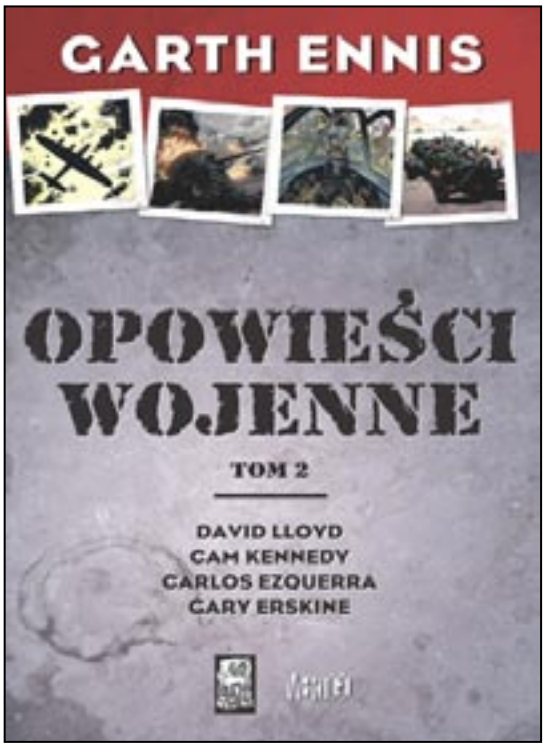


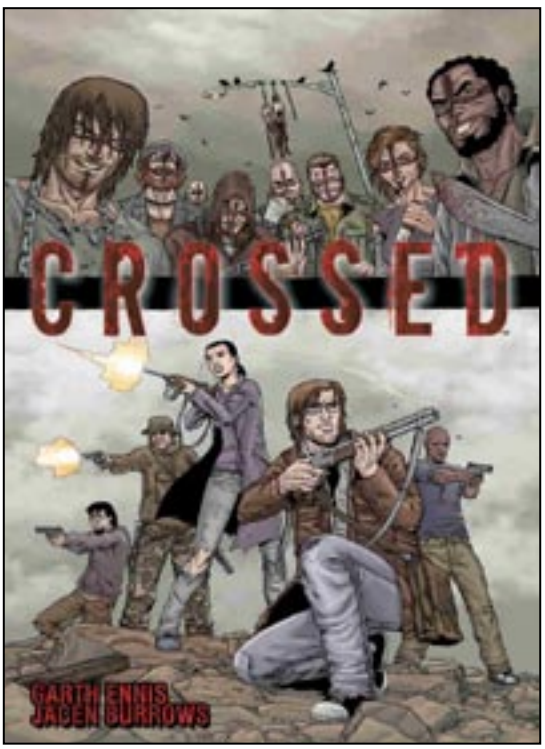
Zródło ilustracji:
WWW.AVATARPRESS.COM

POD OKŁADKĄ


Olga Wróbel
Ciemna strona Księżyca
centrala


David B.
Rycerze świętego Wita


GARTH ENNIS
OPOWIEŚCI WOJENNE
TOM 2
DAVID LLOYD
CAM KENNEDY
CARLOS EZQUERRA
GARY ERSKINE


CROSSED
GARTH ENNIS
JACEN BURROWS

Michał Rzecznik

lat 29, kulturoznawca i niedoszły filolog ukraiński.
Pisze scenariusze i rysuje komiksy.
Członek specgrupy Maszin. Autor albumu
Przygody Powstania Warszawskiego. Redaktor zina „Zsyp".

.

TEATR MÒJ WIDZĘ OGROMNY



Sceny z życia małżeńskiego






O NIE!
TO NIE MÓJ MĄŻ...
3
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ SIĘ DO SZAFY!
...
4
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ MNIE DO SZAFY!
5
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ SIĘ DO SZAFY!
...
6
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ GO DO SZAFY!
7
MAZOL

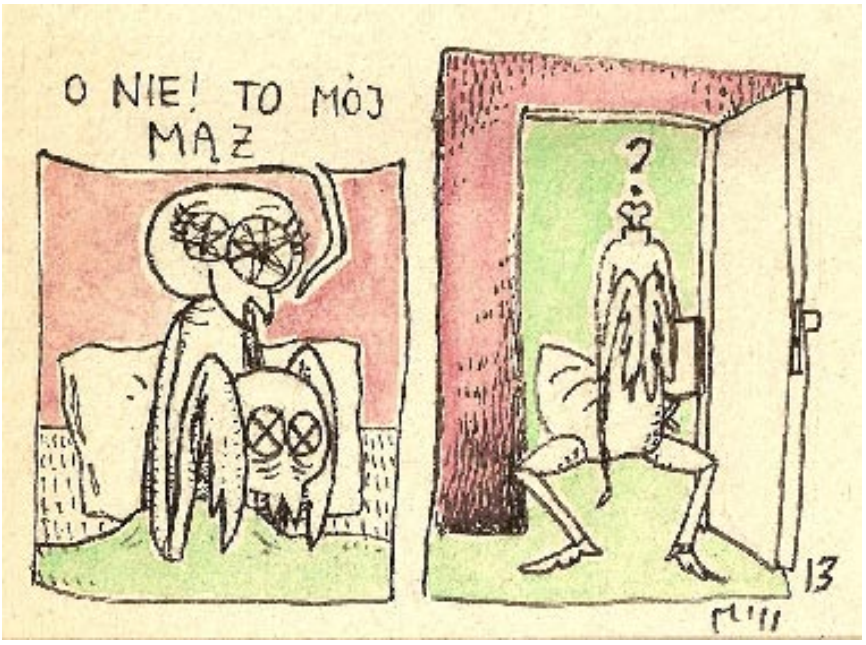

O NIE! TO MÓJ WĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ MNIE DO SZAFY!
8
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ
TAK... WIEM... MAM SIĘ SCHOWAĆ...
9
MAZ@L


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO! SCHOWAJ SIĘ DO SZAFY!
10
MAZ@L


O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO, SCHOWAJ SIĘ DO SZAFY!
O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
11
MZARO

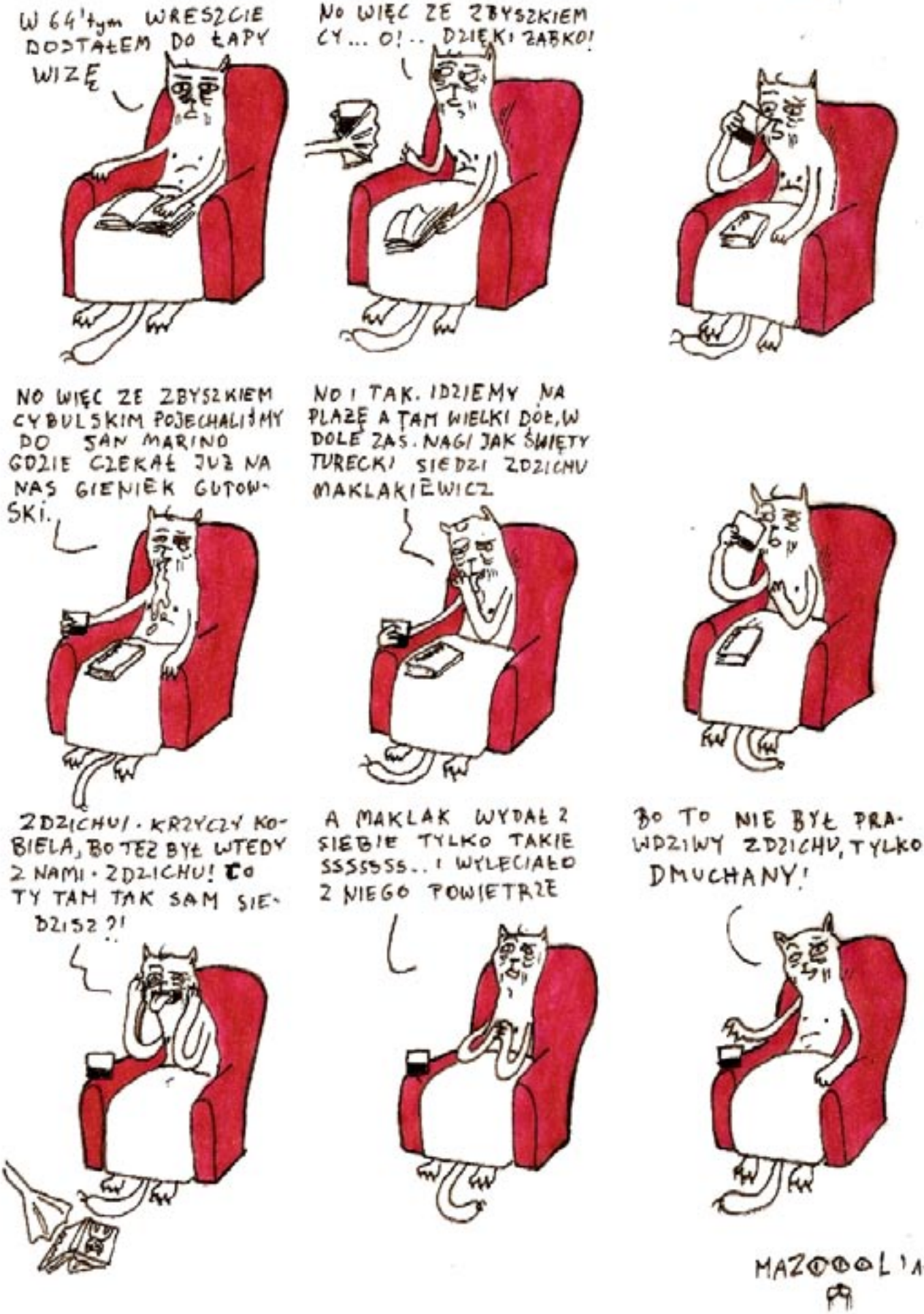

O NIE! TO MÓJ MĄŻ!
SZYBKO SCHOWAM SIĘ DO SZAFY...
12
MAZOL


O NIE! TO MÓJ MĄŻ
?
13
M'11


O NIE!...TO ...TO...TO...
TO MÓJ MĄŻ...
TO MÓJ MĄŻ!
14
M'11


O NIE! TO MÓJ MĄŻ! SZYBKO SCHOWAJ SIĘ DO SZAFY!
TO JUŻ BĘDZIE DRUGIE ŻYCZENIE
•KONIEC SERII 1•
15
M'11

•ZDZICHU•

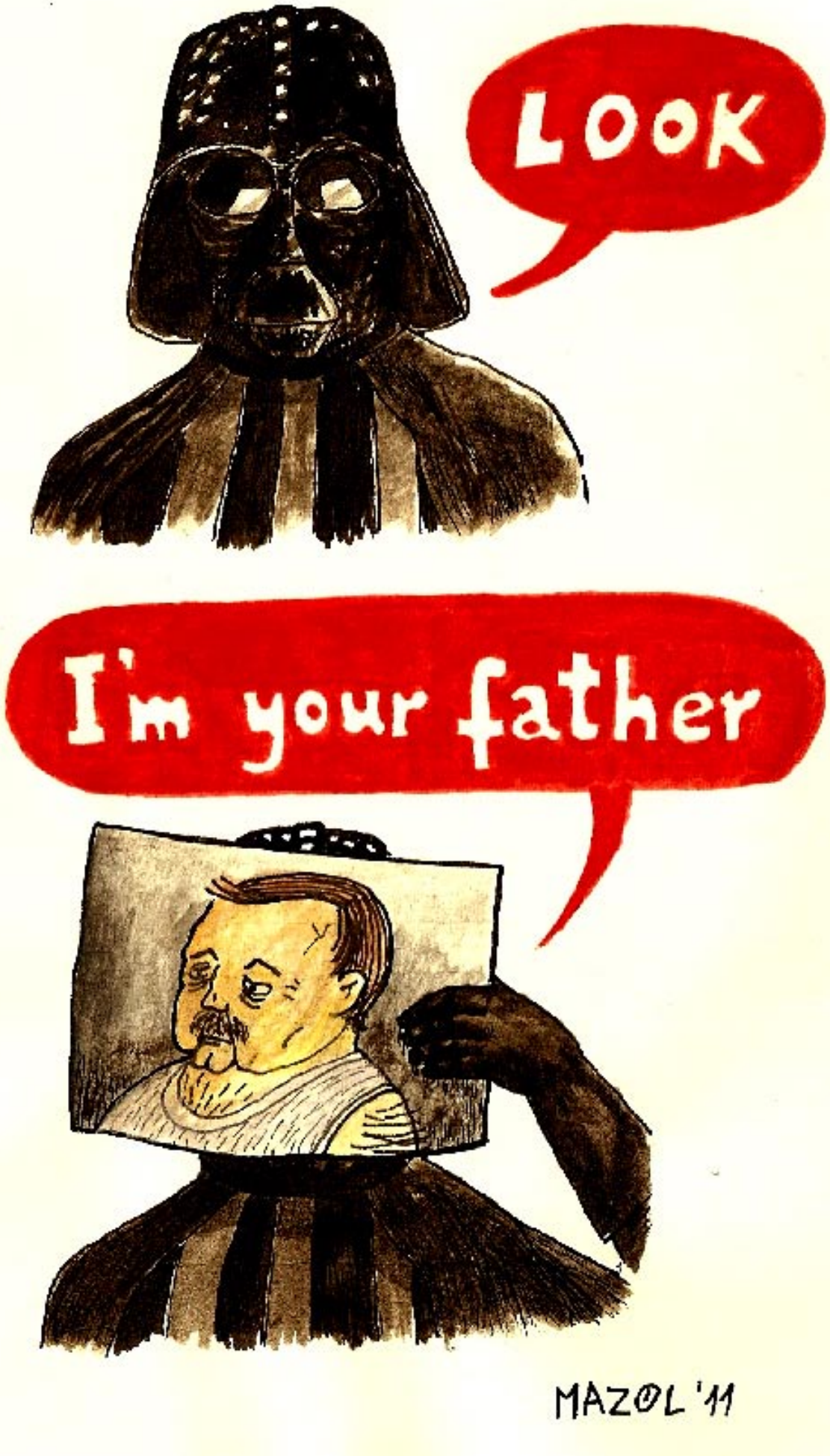

W 64'tym WRESZCIE DOSTAŁEM DO ŁAPY WIZĘ
NO WIĘC ZE ZBYSZKIEM CY... O!.. DZIĘKI ZABKO!
NO WIĘC ZE ZBYSZKIEM CYBULSKIM POJECHALIŚMY DO SAN MARINO GDZIE CZEKAŁ JUŻ NA NAS GIENIEK GUTOWSKI.
NO I TAK. IDZIEMY NA PLAŻĘ A TAM WIELKI DÓŁ, W DOLE ZAS. NAGI JAK ŚWIĘTY TURECKI SIEDZI ZDZICHU MAKLAKIEWICZ
ZDZICHU! - KRZYCZY KOBIELA, BO TEZ BYŁ WTEDY Z NAMI - ZDZICHU! To TY TAM TAK SAM SIEDZISZ?!
A MAKLAK WYDAŁ Z SIEBIE TYLKO TAKIE SSSSSSS.. I WYLECIAŁO Z NIEGO POWIETRZE
BO TO NIE BYŁ PRAWDZIWY ZDZICHU, TYLKO DMUCHANY!
MAZOOOL '11


WOF!
WOF!
WOF!
WOF!
EJ! A NA KOGO MY WŁAŚCIWIE SZCZEKAMY?
SZCZEKAJĄC
NA
GODOTA
NAZOL'11
1


SZCZEKAJĄC
NA
GODOTA
~2
BYŁEM NA NOWEJ KLECZEWSKIEJ...
I JAK? I JAK?
CZYTELNIKÓW ZAPEWNE NIE INTERESUJE OPINIA JAMNIKA.
POTEM CI POWIEM...
NAZOL'12


SZCZEKAJĄC NA GODOTA
BYŁEM WCZORAJ NA PRÓBIE CZYTANEJ...
I CO? I CO?
TRAGEDIA...
OKAZAŁO SIĘ ŻE ZUPEŁNIE NIE UMIEM CZYTAĆ.
mazol-zsyp.blogspot.
4


SZCZEKAJĄC NA GODOTA
PENDERECKI MA MIEĆ KONCERT Z WIZUALIZACJAMI ZANUSSIEGO!
NO CO TY! SKĄD WIESZ?
OD SUCZKI PENDERECKIEJ...
MAZOL
5


LOOK
I'm your father
MAZOL '11


ALIANCI?


MAZOL BY NIGHT
TATO, DLACZEGO MROŻEK ZNÓW WYJECHAŁ Z POLSKI?
KTO?



Wojciech Boros

ur. 10 kwietnia 1973 r. w Gdańsku. Studiował historię na Uniwersytecie Gdańskim oraz dziennikarstwo i komunikację społeczną w Ateneum – Szkole Wyższej w Gdańsku. W l. 1993-97 współtworzył Inicjatywę Poetycką „Almanach". Zdobywca „Czerwonej Róży" (1996). Stypendysta (poezja) Samorządu Województwa Pomorskiego (2003, 2007, 2010, 2011), Prezydenta M. Gdańska (2008) oraz Baltic Centre for Writers and Translators w Visby (Szwecja, 2012). Publikował, m. in. w: „Autografie", „Die Aussenseite Des Elementes", „FA-arcie", „Frazie", „Frondzie", „Gazecie Malarzy i Poetów", „Litaraturnaj Biełarusi", „Migotaniach, przejaśnieniach", „Opcjach", „Portrecie", „Toposie", „Tytule", „Undergruncie" oraz w licznych antologiach, m. in.: „Poza słowa. Antologia wierszy 1976-2006" (2006). Wydał tomy wierszy: *Nierealit górski* (1997), *Jasne i Pełne* (2003), *Złe zamiary* (2008) oraz audiobook *Pusta noc* (w opracowaniu muzycznym Marcina „Emitera" Dymitera; dodatek do kwartalnika artystycznego „Bliza" nr 4/2012). Współpracownik dwumiesięcznika literackiego „Autograf" oraz redaktor działu poezji w kwartalniku artystycznym „Bliza" (od 2009 r.); wiceprezes gdańskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (od 2010 r.), a od 2011 prezes tegoż. Prowadzi spotkania literackie w ramach Przystani Poetyckiej „Strych" (wspólnie z Pawłem Baranowskim; Gdynia) oraz Sceny Literackiej (Gdynia); w l. 2006-2010 prowadził spotkania Pomostu Literackiego „Morena" (Gdańsk). Organizuje konkursy jednego wiersza, slamy poetyckie, koncerty, etc. Jego wiersze były tłumaczone na język niemiecki, czeski, angielski i białoruski. Od czerwca 2003 r. ma własną stronę w sieci: http://www.boroswojciech.pl/

***

Dzień ów nazwałbym pożytecznym :
krótko ostrzyżone styczniowe żółtko
bure koty kwitną na parapetach
horyzont w błękitne ciepło
kolorową psotnię przedszkolaków
prowadzą do nieba huśtawek

wietrzę zdradę –
zbrodnię przeciwko zimie
zginając wpół widokówkę okna
widzę:
zielone bagnety ostów
Najwyższe Trybunały Topoli
szare drelichy śniegu
błagające o litość

na biurku znaczkami się liżą
listy do poczt odległych
które wyślę.

***

Białe zabiło wszystkie liście –
dziadek mróz z zamrażarki wyszedł
porzucił kurę Dąbrowskiego
zjechał po słupkach rtęci w miasto
skuł nam nosy
pozamykał ostatnie kałuże
obnażył przed dziećmi gładkie ślizgawki

nieliczni jak sople imają się przystanków
przymarzają do nocnych witryn z jadłem i napitkiem
patrioci slalomem wjeżdżają w zaspy
ostrożnie by nie potłuc tego co w siatce
zimne bankomaty pozwalają wkładać
pod srebrne sukienki dłonie magnetyczne
siekiery śnią o nieletnich choinkach
w czerwonej poświacie karp księżyca zastygł...

***

To już jesień jak Cię nie ma, Ojcze.
Jest właściwie tak, jakby Cię nie było.
Grób na Łostowicach milczy ziemi pełen.
W kałużach zniknęła przeszłość oraz miłość.

Tu u góry bez zmian – żywych szarpanina.
Próbujemy być lepsi, a wychodzi jak Tobie.
Grzebiemy w słowach, dziury mamy w sercach.
Pod prysznicem śpiewamy, jutro damy dupy.

To już jesień, Tato.
Za chwilę przyjdzie Zima.

Dorota Borowska

ur. w 1973 r. w Białymstoku. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku na Wydziale Malarstwa. Obecnie robi doktorat na tejże akademii pod roboczym i być może ostatecznym tytułem: *Malarstwo w ciemności*.

Listy do M

Już prawie wszystkie wróciły.

Pierwszy wrócił pod moje okno. Zaraz jak tylko odjechała. Zasnął, dzióbek oparłszy o mur mojego pokoju. Znalazła go Rita.

Drugi wrócił nieopodal. Był dzięciołem. Pod drzewem zesztywniał na znak, że już nie…

Trzeci leżał na progu. Delikatne, małe wybrzuszenie rzeczywistości. Ciepło jeszcze było w nim, ale rozpraszało się, już straciło swój początek.

Pozostałe znajdowałam na ulicy. Były w różnym stanie.

Każdy w ostatecznym.

Karolku, jest mi tak smutno jakby ktoś umarł

„obraz I

– No to idę. Nie mogę tu zostać.

Nacisnęłam klamkę, zrobiłam krok za drzwi. Na zewnątrz był kosmos. Wielki i bez kierunku. Mój kawałek oderwał się od reszty podłogi. Wiedziałam, że gdy zamknę za sobą drzwi i puszczę klamkę, to nigdy tu nie wrócę. Będę dryfować pośród gwiazd oddalonych od siebie o miliony lat świetlnych. Za daleko na jedno życie. Nie mogłabym mieć nadziei, że dotrę kiedykolwiek do którejkolwiek z nich. Bałam się samotności.

Puściłam klamkę".

„obraz II

– Pokażę ci. To się robi tak. To proste.

Otworzyłam szeroko usta i zaczęłam ciąć u nasady. Ostrym jak brzytwa nożykiem odcięłam sobie prawie cały język. Trzymał się jeszcze na wędzidełku. Pomyślałam, że mogłabym właściwie na tym poprzestać. Nie chciałam pozbywać się języka. Ale przecież powiedziałam: „Pokażę ci jak się odcina język", więc wierna słowu musiałam odciąć go do końca. Skupiłam się tylko na tym, żeby wykonać ten ostateczny ruch. Po chwili było po wszystkim.

…

Przykładałam go, ale nie chciał przylgnąć. Lekarz powiedział, że jest już o te kilka dni za późno. Ta część jest już martwa i nie przyrośnie".

„obraz III

To był ogromny budynek z cegły. W tej części mieściły się biura. Z wyposażenia nic już nie zostało. Wszędzie kurz, brudne ściany i dziury po kołkach. W pokoju, w którym rozłożyłam karimatę, schły zapylone półki montowane po sam sufit. Stały na nich mocno przerzedzone książki. Pomyślałam, że za trzy dni ruszę dalej. Przejrzałam rzeczy w plecaku i wyrzuciłam do śmieci stare buty, żeby ich już ze sobą nie zabierać.

Jakiś człowiek kręcił się po pomieszczeniach. Kiedy przyszłam, już tu mieszkał. Poruszał się po całym budynku tak swobodnie, jakby znał każdy zakamarek. Oprócz nas nikogo tam nie było od wielu dni. Czułam, że stoi na granicy szaleństwa, ale był z tym dziwnie pogodzony. W jego oczach widziałam postanowienie, że kiedy wyjadę, rozpadnie się w sobie. Jeszcze tylko ze względu na mnie zachowywał możliwość kontaktu. Towarzyszył mi i opiekował się mną jak obsługa hotelowa.

W pewnym momencie przyszedł i powiedział, że musiał to zrobić.

– Trzeba coś zrobić z ciałem. Pomóż mi.

Pomogłam przenieść trupa do innej sali. W murze była głęboka dziura po wyjętych cegłach. Wrzucił tam ciało i zaczął zasłaniać wieżowcami z książek. Powiedziałam, że trup niedługo zacznie strasznie śmierdzieć i książki nie powstrzymają tego, że szybko go znajdą i zaczną szukać tego, kto zabił. Odpowiedział, żebym się nie martwiła, że on weźmie to na siebie, jakby co.

Odwrócił się do ciała. Wszystko zmieniło się nieodwracalnie.

Pomyślałam, że muszę już iść i że muszę zabrać ze sobą swoje buty. Nie mogę zostawić tu po sobie żadnego śladu”.

Z życia trupa

Po tych kilku promiennych słowach zmartwychwstałm i zawołałm radośnie:

- Hej! Popatrz! Ruszam się! Chyba znowu mogę, no wiesz… kochać!

- Spójrz na siebie. Jak Ty wyglądasz? Ja mam cię pocałować? Wyobrażasz sobie, że przyjadę do ciebie mieszkać i razem w tym dole będziemy się smucić? Co najmniej dwie osoby pisały mi, że tak jak ty, zmartwychwstały z mojego powodu. Wiesz, nie jestem taka duchowa i jestem estetką z racji wykonywanego zawodu.

Spojrzałm na siebie. Wokół kości i odpadającego mięsa hulał wiatr. Zalatywało ode mnie mrokiem sutereny. Jedynie serce wydawało się świeże, żywe i na miejscu. No, może tylko zwisało dziwnie. Pomyślałm, że może właśnie z powodu braku większości ciała słowa dotykały tak przenikliwie, aż do kości. Coś mi utkwiło w żebrach. Echo twojego dotyku uleciało ze mnie z jękiem.

- No tak, przepraszam. Jesteś taka piękna. Masz taki cały brzuch, cycki i ręce.

Chciałm pójść do fryzjera albo zrobić makijaż. Jednak miałm przeczucie, że to nic nie da. Wypadły mi oczy. Od tej pory mogłm patrzeć tylko sercem. Ale nie chciałm. To jeszcze nie był ten czas. Serce zajęło się zwisaniem.

Zdejmij mnie z płotu jak będziesz przechodzić obok.

Katarzyna Krzywicka

ur. 1986 r., absolwentka filozofii na UMK w Toruniu i fotografii na EAF-ie w Warszawie. Zajmuje się fotografią kreacyjną. Niniejsza publikacja jest jej debiutem literackim.

zebra

ta zuchwałość cyrkluje we mnie
kółeczko które wyciął w mojej skórze ukazuje kosmos
odczytujemy swoje hieroglify i wirujemy

myślę że era się kończy
era swobodnego spadania
nasza senna okupacja podkopuje w nas
sklepy podłogi są jak łuski karpia
dajmy nie dajmy spłodzić w sobie

to jest wygrane przegrane bez znaczenia
on ma pośladek jeszcze w mroku odwracam się
rozchylam oko i kołdrę
sen z oka sen z niego odgarniam

patrzę jak zebra skacze po pośladkach
nad ranem kiedy światło wkrada się
żeby zamieszkać od wewnątrz

krew ryby

to jest polana na którą nie doszliśmy
jest poza nami choć ciągle w nas obcuje
jak śnięta ryba

będę wiosłem
przetnę toń grubą kreską
wypłyniemy na mieliznę na środku jeziora
a ciała wysypią się

ślizgawka w żebrach kaloryfera

nikogo nie ma zapełnijmy to miejsce
wydrukujmy się tu drobnymi literami
wprowadźmy się gładko i bezszelestnie

woda zamarzła kaloryfery są ale nie ma nas
i nikt nie odkręca ciepła

ślizgawka umieszczona w żebrach kaloryfera
wejdźmy tam wystarczymy by poruszyć mechanizm
napłynie krew białym światłem i zacznie się

Masz palce -te noszą pająki

przesuwając się po ścianie we wnętrzu swojej sieci
jesteś spadającą gwiazdą----------
połóż mnie w środku siebie powiedz że skóra jest wodą

spotykam cię codziennie na moim balkonie
zapalasz papierosa i czekasz do rana
aż głowę muśnie świt białą wargą

stwórz mnie dzisiaj na nowo
czego nie dotkniesz nie stanie się



Niedosko się nie czuje, nie wszystko kapuję...

Beata Jurkiewicz

Osoba X, którą dobrze znam, zgadza się na opisanie swojej historii. Od dawna świat nie jest dla niej najweselszym miejscem, a sama egzystencja jawi się jako przykry obowiązek. Życie, życie jest nowelą, nie przyjazną – raczej wrogą. Jazda na sinusoidzie, odruch wymiotny, nieżyt, nieżywot. A przecież nie zawsze tak było: coś się w trybikach przestawiło.

X postanawia zasięgnąć porady specjalisty.

Dowiaduje się, że w jednej z pobliskich przychodni przyjmuje „bardzo dobra pani psycholog, która niejednej osobie pomogła". Spróbujmy. Jako że X była ostatnimi czasy dość zestresowana i w dodatku mało spała, wizyta pięknie, acz dość fałszywie realizuje kliszowy obrazek spotkania z „lekarzem od duszy". Pacjentka rzeczywiście czuje się źle, mówi cicho i bez energii, unikając wzroku rozmówczyni opowiada dramatyczne koleje swojego losu. Psycholożka zadaje niedorzeczne w ocenie X pytania, jednak ostatecznie stawia straszliwą diagnozę – ciężka depresja. Bez farmakologii a może i hospitalizacji) się nie obejdzie. Tu pomóc może tylko psychiatra. X zna siebie trochę lepiej i elegancko wyraża powątpiewanie, jest jednak osobą otwartą, toteż ostatecznie zgadza się zapisać na wizytę do tego, kto teoretycznie więcej może (i może pomoże). Mózg to narząd jak każdy inny i jeśli rzeczywiście jest chory, lekarstwo się przyda. Ciało nie jest doskonałe, a to, jak czuje się „dusza", bardziej zależy od jakości działania materialnej reszty, niż od wahań natężenia energii kosmosu.

Psychiatra po wysłuchaniu opowieści X podtrzymuje diagnozę Psycholożki, mimo iż tym razem pacjentka ma znacznie lepszy dzień i nie roztacza wokół siebie zapachu stęchłej ziemi. Lekarka jest jednak osobą rozważną i nie działa pochopnie (co podoba się X). Pewne symptomy depresji widzi, innych nie. Tłumaczy trudności w odróżnianiu choroby (depresji) od choroby (afektyw-

poza obiegiem

nej dwubiegunowej) i „zwykłych zaburzeń osobowości". Nigdy nic nie wiadomo (tu X zaczyna powątpiewać w swoje istnienie, zresztą nie po raz pierwszy). Sposób na wyjście z decyzyjnego impasu: propozycja ośmiotygodniowego pobytu diagnostycznego w znanym szpitalu psychiatrycznym, którego nazwa notorycznie powtarza się w lokalnych żartach. X może i miałaby na to ochotę, zastanawia się jakie obserwacje mogłaby tam poczynić, a jakie poczyniono by na niej. Poza tym dwumiesięczny urlop na koszt NFZ, z daleka od wszystkiego kusi. Jednak psychiatryk to nie wakacje pod palmami – rozsądek zwycięża. X uprzejmie dziękuje, chowając skierowanie do torebki. Obiecuje Pani Doktor, że się zastanowi, a sobie samej, że już więcej do tej przychodni nie wróci.

Odstraszenie od konkretnej placówki nie równa się odstraszeniu od poszukiwania pomocy – X tym razem kieruje swe kroki ku przybytkowi wyspecjalizowanemu – ośrodkowi psychoterapii i leczenia uzależnień. Tam spotyka uśmiechniętą Psycholożkę 2, która odnosi się do opisanych problemów w sposób zgoła odmienny – złe samopoczucie jest wynikiem trudnej sytuacji życiowej. X traci energię psychiczną nie tam, gdzie należy i to właśnie trzeba zmienić. Pacjentka oddycha z ulgą, podoba jej się ta teoria, usterka zdaje się łatwa do naprawienia. Psycholożka 2 proponuje sesje u bardziej podobno odpowiedniego Psychologa 3 w gabinecie obok. Naładowana pozytywnymi emocjami płynącymi od terapeutki X oczywiście się zgadza.

Wkrótce okazuje się jednak, że Psycholog 3 dopiero się uczy. Pacjentkę odrobinę deprymuje opowiadanie o swoich problemach osobie młodszej o dobrych parę lat (sprawdziła w internecie). Kontynuuje jednak, miło się rozmawia, chociaż to głównie X daje popis swoich oratorskich zdolności . Psycholog 3 po kilku spotkaniach stwierdza jednak, że nie są one potrzebne – pacjentce nic nie dolega, musi tylko zacząć konstruktywnie działać. Ale jak tu działać kiedy napędu brak? – zastanawia się X. Potrzebuje innej, motywującej perspektywy i przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, dlaczego czuje się źle, i to często bez wyraźnego powodu.

Podjęcie tematu powoduje ponowne odwołanie się do archetypicznej postaci uczonego medyka, tym razem w osobie Psychiatry 2. Tego akurat X zna, kiedyś już przepisał jej leki które ostatecznie zaszkodziły, więc odstawiła. Spotkaniem po latach lekarz nie jest najwyraźniej wzruszony. Złapany na pięć minut przed zakończeniem czasu przyjęć, praktycznie nie słucha tego, co pacjentka stara się mu wyłożyć. Spieszy się do domu. „Skoro lekarstwo A nie pasowało, może zadziała lekarstwo B" – mruczy pod nosem, pospiesznie wypisując receptę. Urażona X z kamienną twarzą przyjmuje ten łaskawy dar. W domowym zaciszu postanawia jednak nie kupować leku – internetowa ulotka straszy skutkami ubocznymi nieprzyjemnymi i niebezpiecznymi daleko bardziej, niż jej chwiejne nastroje.

X w dalszym ciągu uważa, że przydałaby jej się pomoc psycho-specjalistów. Nie ma już jednak na to siły. Podiagnozuje się sama oraz w towarzystwie najbliższych jej „duszy" osób. Depresja? Niekoniecznie. ChAD? Możliwe. Skrzywienie osobowości? Z pewnością. Rozdwojenie jaźni? „Nie, dziękuję".



Szymon Szwarc

Jestem. I jest. Poniedziałek, wtorek, rzeczy. Jest poniedziałek, bla, bla, są rzeczy. Środa, rzeczy. Czwartek, rzeczy, sprawy, obroty spraw. Zawrotna kariera człowieka. Oto temat na obcej ziemi, bla, bla, bla. Zawrotna kariera ludzkości w kosmosie. Kariera kosmosu w czasie, kariera chaosu w zupie, kariera historii też w zupie. Kariera w niedzielę. Święto. Kariera tu i ówdzie, wszędzie.

*

W piątek postanowiłem sobie, że kolejne partie tekstu oddzielał będę gwiazdkami. Trzeba by w tym świecie rzeczy przyczepić coś (bo przecież nie się) do firmamentu. Niech wyrazi to z grubsza niebo gwiaździste nade mną dość rzadko, a prawo moralne w tekście, szczotkę do zębów w kubeczku, robaczka świętojańskiego w nosie.

*

Skoro już jestem, to należałoby się podnieść, tak sobie pomyślałem we śnie, w którym handlowaliśmy z kolegami z podstawówki bronią i kaczkami. Ścigali nas nauczyciele będący na dyżurze, głównie wuefiści, którzy chcieli nas przechytrzyć dzięki swojemu zdobytemu na AWF-ie sprytowi. Skoro już należałoby się podnieść, podnoszę jedną z powiek na próbę (członek zdążył podnieść się wcześniej bez mojej wiedzy), dochodzę do wniosku, że jest to lewa powieka, a lewe oko widzi trochę bardziej niewyraźnie. Co widzę? Widzę kilka włosów. Czy takiego widoku się spodziewałem? Podnoszę drugą powiekę w ramach pomocy i dostrajam soczewki. Co widzę? Widzę seledynową ścianę. To za daleko. Przestrajam. Co widzę? Wydaje się, że widzę powietrze? Ale żeby się upewnić podnoszę głowę, obrzucam, a może obrzyguję spojrzeniem otaczającą mnie przestrzeń. Och, dopiero co wstałem i jestem, w moim małym pokoiku na piętrze szeregowca, patrzę na podłogę, żeby sprawdzić, która godzina w telefonie. Na podłodze cmentarzysko rzeczy. Ubrania, worki, telefonia z godziną, mysz, grzałka, torba, laptop, szklanka, i inne niezbędne, cmentarne duperele. Okno, drzwi. Za oknem okna.

*

No tak. To już będzie czwarty tydzień, nie, piąty, jak tu sobie siedzę i leżę, na tej emigracji, i tak sobie myślę teraz, że za oknem mam okna sąsiadów, kominy i kawałek nieba, obok

dzienniczek uwag

łóżka zaś cmentarzysko rzeczy, które tak się przesuwają tylko w czasoprzestrzeni, zmieniają swoje położenie, zdarza się, że giną razem ze swoim wątłym wąteczkiem w tej animacji poklatkowej, i tak to się wlecze razem z ciałem, krąży w chronotopie, i nie ma się tu czego wstydzić. Co się będę krążącej w chronotopie materii wstydził, przecież to nie wiersz, czasem lepsze cmentarzysko obok łóżka, niż cudze okna za oknem, w których nie widać nikogo, tylko czyjeś włączone albo wyłączne światło (światło jako własność i potencja!), czasem właściwie wszystko to samo. Najlepsze jest cmentarzysko za oknem, bo co wstyd w wierszu przyznać i choć na co dzień niezauważalne, jakoś wyciągało z kuchni, z domu, w noc. Opadam ponownie, głową (członek także jakoś zdążył niepostrzeżenie opaść), wracam handlować kaczkami i bronią, może uda się rozwinąć jakoś ten interes, przekupiwszy uprzednio kilku wuefistów depczących nam po piętach w swoich bajeranckich dresikach i zająć się przemytem słowiańskiego błota do anglosaskich pubów. Chociaż jest dobrze, jak jest, interesy idą całkiem nieźle, to czeka mnie trudna decyzja, o której podjęciu zapomnę, zaraz jak się znowu będę musiał podnieść. Karierę zrobię sobie we śnie.

*

Maciek się pyta czy napisałem wiersz o dokach, nie napisałem, nie wiem po co mam pisać o dokach, właściwie to jeszcze nawet nie odwiedziłem tutejszych doków, podobno bardzo tam ładnie, atrakcyjnie (turystycznie). W Maćkowych zapytaniach urastają te doki do rangi symbolu, pies wie jakiego. Gdybym przybył tu statkiem albo statkiem planował ucieczkę. Przyleciałem samolotem, w którym miejsca siedzące były ciaśniejsze niż w autosanach, nogi mi ścierpły od podciągania kolan, w okienku noc, ciemność i skrzydło samolotu jak kładeczka nad stepami chmur w półśnie, który byłby do zniesienia, gdyby nie chciało mi się lać? No ale doki. Na miasto się przeszedłem i swoje wrażenia pierwsze mam, nie warte opisania (nie to, żebym z rozdziawioną gębą chodził), postanowiłem się zgubić w ramach wstępnego rozpoznania terenu i udało mi się, wszystko duże, wszystkiego jakby za dużo jak na ten pierwszy raz i właściwie żadnych emocji, a wiatr to mnie spychał, jakbym nie wiadomo skąd przybył i zaburzył naturalny obrót zjawisk oraz towarów (kaczki!).

*

O pogodzie mógłbym przecież pisać, bo mi tu trzy pory roku w ciągu tygodnia na zmianę dają się we znaki, co też w perspektywie przemytu słowiańskiego błota do pubów anglosaskich zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Ale nie o tym, co mi się może podobać, napisać miałem. Nadmiar w emigracyjnej próżni. Rzeczy, ludzie, plany wypełniają ją po brzegi, jakby ta próżnia stała się magazynem pękającym w szwach, z którego nic nie można wynieść, wszystko trafia do przyczepy ciężarówki, która pędzi potem z tym wszystkim w świat, przez te Maćkowe doki, a ten świat wydaje się tak jakoś prosty i nasycony, że aż obcy, i robi się niedobrze. I symbol tak pojęty pośredniczy w jakiejś gównianej sprawie.
A może ten zarys pustki, to właśnie owo cmentarzysko rzeczy, którego brzeg zaledwie znalazł się pod moim łóżkiem? Trudno na dzień dzisiejszy stwierdzić. Może się dowiem, a może po prostu o tym zapomnę, zaraz jak znowu padnę i zajmę się moją karierą.



Mia, śpij!

Karolina Natalia Bednarek

Można oglądać „Fakty", czytać mądre książki, kartkować branżowe czasopisma, stawiać sobie cele, słuchać fantastycznego, nowego kumpla, który wie, co to znaczy być w związku, jak w nim bywać i dostać niespodziewanie w twarz butem do golfa. Można posiadać jakąś samoświadomość, wysprzątać szafę, śmiać się z cudownymi ludźmi w pracy, także cudownej, być podawanym za przykład innym i osiągać wiele, ale i tak, niemądry człowiek, „kobieta", nie potrafi przestać kochać swojego „oprawcy". Bo z kim będzie dyskutować o nowym filmie Wojtka Smarzowskiego, smakować nowych miejsc, walczyć o pilota i pozwalać sobie na wszystkie zakazane przyjemności? Syndrom sztokholmski czy przeświadczenie, że wszystko skończy się dobrze? Hm... Temat rzeka.

Takich niefortunnych zmian, jak ostatnio, nie doświadczyłam nigdy, a pomimo tego wiem, że spojrzałabym na niego z miną w stylu: „no, dobra" i wszystko byłoby dobrze. W ostatnio oglądanym przeze mnie filmie, z „jego Alainem Delonem" (*Skorpion*) padło zdanie: „nie jest wart moich łez" i zapisałam je sobie w notatniku. Ale! Ale kabaretowe. Przyjęłabym go z herbatą, kołdrą, ręcznikiem, ciastem, chlebem i solą w trzy sekundy po tym, jak powiedziałby: „cześć". *Am I a lunatic*? *Maybe*. Tyle, że nie jeszcze spotkało mnie w życiu coś takiego. Tyle fantastycznych rzeczy przychodzi mi do głowy, że aż trudno uwierzyć w to, że jego one omijają.

Rozstania. Kiedy się ich nie spodziewasz. Kiedy inni stawiają was za wzór. Ciężkie. Do teraz nie czuję, że zakończył się ten ważny etap, ponieważ zawsze żyliśmy trochę swoimi sprawami, tyle że zawsze istniał punkt styczny. To niecodzienne nie móc się dzielić z nim tą codziennością. Przeanalizowałam wyznania na forum i okazało się, że nie różnimy się od innych niczym. *Nihil novi sub sole*. A tak wierzyłam, że jest inaczej. Młoda baba krząta się po mieście z syndromem „elki" - czyli wszędzie gdzie patrzy, są obrączki. Każdy jest sparowany, bardziej niż kiedykolwiek, a ja czuję, że zaczynam mieć pokryte ciało łuską. Tak po „Bridgetowsku". Kroki o 19.45 na schodach są niestety sąsiednie.

życie i cała reszta

Mam to szczęście, że trafił mi się prywatny Coach. Jest jak rękawica baseballowa, która mnie złapała po niespodziewanym wyrzucie zaufanego gracza. Coach tłumaczy mi zasady planownia i osiągania celu. Wszystko przyjmuję z dobrodziejstwem inwentarza. Zapisuje mnie jakbym była *tabula rasa*. Pozwalam mu na to. Teraz wykłada mi zasady tzw. koła wpływów. Rysuję dwa okręgi, jeden wpisany w drugi – coś jak przekrój jajka ugotowanego na twardo. W „żółtku" wypisuję rzeczy, na które mam wpływ, te do zmiany za pomocą siły woli i pracy, w „białku" to, co irytuje i na co brak siły, bata czy „umarł w butach na weselu". Ma to pomóc w porzuceniu tego, na co nie posiadamy wpływu i skupieniu się na tym, co w zasięgu ręki: biznesplan, termin wykonania. Ponoć 90% populacji skupia się głównie na tym, że pogoda nie taka, że spóźnił się autobus czy szef wstał lewą nogą z łóżka. Zrozumiałam tę teorię.

Zawsze wybieram to, co osiągalne i działam. Wygrywam życie. Na ogół. Dlatego nie pojmuję, czemu w tej jednej dziedzinie tak niefortunnie się dla mnie potoczyło. Mówię Coachowi, że miałam wszystkie składniki potrzebne do ciasta, idealnie odważone, przepisowo połączone, piekarnik nastawiony na odpowiednią temperaturę. Czemu więc zakalec? Coach odpowiada: „miałaś wszystkie składniki do pieczenia ciasta, idealnie odważone, dobrze nastawiony piekarnik, ale nagle wyłączyli prąd i wszystko się zjebało. Nie miałaś na to wpływu".

W tych słowach sens układa się sam i odpowiedź jest niezwykle, jak w mordę strzelił – prosta. Tylko że, do cholery, nie chodzi tu o żadne ciasto. Nie ma określenia na to, że osoba, którą się kocha, odeszła, zabierając ze sobą wszystko i do tego zabrania ci pamiętać. Nie ma reguły na to, jak żyć, kiedy przyzwyczajasz się do myśli, że bez względu na to, jak bywa, wiesz, że ten ktoś cię kocha, bo mówił to tysiąc razy, a potem nagle zmienia front, podejmuje sam decyzję, nie uwzględniając w tym wszystkim twoich uczuć, Rzymu, pasji i rzęs, które czciłaś. Planowałam być z nim do starości. Oboje popełniliśmy błędy, ale ja swoje sklasyfikowałam już po tygodniu samotności. I wiem, że zapomniałabym wszystko, gdyby pojawił się w naszym domu, potargała jego włosy i zrobiła mu herbatę. To moje „białko", coś na co nie mam żadnego wpływu.

To tak, jakby tłumaczyć tonącemu, żeby poddał się pochłaniającemu go żywiołowi, bo to zapewni mu utrzymanie się na powierzchni. Topielec będzie się szamotał, machał rękami i nogami, łykał coraz więcej wody – to jego mechanizm obronny. Nie wierzy, że poddanie się sytuacji może uratować mu życie. Ja nie wierzę. Jest miliard wspomnień połączonych neuronami z moją emocjonalnością. Przyznaję, nie zawsze byłam szczęśliwa, dużo musiałam zmienić, czasem z czegoś zrezygnować, ale wierzyłam, że warto. Układałam w myślach naszą przyszłość. Pisałam ekstremalne scenariusze, ale nie taki, w którym zabraknie prądu.

Pytam Coacha, jak to możliwe, że w nim nic nie zostało, że układa sobie nowe „bycie" tak, jakby nic się nigdy nie zdarzyło. Że mimo wszystko jestem otwarta i gotowa, by próbować raz jeszcze, znam smak sernika i wiem, że może on wyjść tak samo albo i lepiej. Nie chce próbować nowego przepisu. Coach odpowiada, że jego emocjonalność jest inna, niż moja i przesyła mi link do filmu obrazującego różnice w mózgu kobiety i mężczyzny. Mnie przeraża to, że teraz będę musiała egzystować inaczej, skoro tak dobrze było mi w tej zaszłej niedoskonałości.

Pamiętam, jak postanowiliśmy zaadoptować kota. Wybrałam białą kuleczkę, która kryła się nieśmiało w pokoju pełnym zwierząt. Nadał jej imię: „Mia", na cześć jednej z wielu spraw, jakie nas łączyły. Pewnego wieczoru Mia wpadła w szał zabawy. Było rozkosznie. Ni z tego, ni z owego sugestywnym tonem Kaszpirowskiego wypowiedziałam: „Mia, śpij!"; wyciągając palce w kierunku mruczka. W tym momencie biała kulka zaczęła snuć się na łapkach, by po chwili opaść bezwiednie na dywan. Jedno spojrzenie na siebie i salwa śmiechu. Co za siła w mym głosie! Gdyby to w istocie było tak proste, użyłabym tego „zaklęcia" i teraz. Gdyby tylko „Mia, śpij" zdarzało się częściej, niż raz w życiu.



Wydmuszka

Iwona Stachowska

Może pamiętacie jeden z odcinków siódmego sezonu serialu *Dr House*, w którym zespół medyczny diagnozuje pacjentkę obdarzoną pamięcią absolutną (odc. 144: *You Must Remember This*)? Kobieta doskonale kojarzy fakty z przeszłości: daty, miejsca, okoliczności, spotkanych w życiu ludzi, ich zachowanie, ich czyny. Myślicie – rzadka umiejętność, tylko pozazdrościć. Ale czy faktycznie jest czego? To, co dla jednych zdaje się być wyjątkowym darem, dla samej zainteresowanej staje się przekleństwem. Okazuje się bowiem, że doskonała pamięć jest nie tylko fizjologicznym symptomem choroby. Nieumiejętność selekcji informacji i wyparcia ze świadomości tego, co mało istotne, skutkuje tym, że każda, nawet najmniejsza z doznanych krzywd, bez względu na upływający czas, wciąż pozostaje świeżą, jątrzącą się raną. Efektem ubocznym doskonałej pamięci jest zatem nieumiejętność zapominania o tym, co złe, a w konsekwencji niezdolność do budowania trwałych relacji międzyludzkich. Bo trzeba przyznać, że życie z osobą posiadającą tak niecodzienny dar nie jest łatwe. Któż z nas czułby się komfortowo w towarzystwie kogoś, kto pamięta jego wszystkie przewinienia, skrupulatnie odnotowuje mniejsze i większe grzechy i przy każdej nadarzającej się okazji wypomina niechlubne błędy z przeszłości. Koszmar!

Ale wróćmy do diagnozy dr House'a. Jeśli jego rozpoznanie jest słuszne i między pamięcią absolutną a zaburzeniami społecznymi zachodzi tak silna korelacja, to można dojść do wniosku, że nieumiejętność zapominania, wybaczania, a przy tym niezgoda na pewien margines niedoinformowania są swoistą dysfunkcją, czyniącą z człowieka jednostkę nieprzystosowaną do życia w grupie.

Jednak przyglądając się uważnie praktyce społecznej trudno nie oprzeć się wrażeniu, że chronicznie tęsknimy za permanentną kontrolą (oczywiście za tą której wektor bie-

w użyciu

gnie na zewnątrz, bo sami kontrolowani być nie lubimy) i chętnie zaobserwowalibyśmy u siebie objawy pamięci absolutnej. A podejrzliwość plus pamiętliwość to już mieszanka wybuchowa.

Czyżbyśmy zapomnieli o przykrych konsekwencjach przypadku analizowanego przez Gregory House'a, o niezrozumieniu, osamotnieniu, małostkowości, zgryźliwości? Czyżbyśmy byli nieświadomi jak dokuczliwa i w gruncie rzeczy nużąca jest ciągła czujność? Dlaczego dobrowolnie zrezygnowaliśmy z przyjemności i korzyści płynących z zaufania?

Przesadzam? Czyżby? A niby czym się karmią (podobno modne ostatnio) agencje zajmujące się testowaniem wierności? Z pewnością nie potrzebą zaufania i idącymi w ślad za nią zasadami, takimi jak prawdomówność, lojalność czy dotrzymywanie danego słowa. Chociaż i owi testerzy zasadami grzeszą, wszak swój kodeks etyczny mają i za normę bezwzględnie obowiązującą w ich profesji uznają regułę *non consumatum*. Ufff! Sprawdzą, pokuszą, ale oddadzą w nasze ręce nietkniętego fizycznie partnera bądź partnerkę. Kamień z serca!

Ale niepokojące jest nie tyle powstawanie takich agencji, lecz samo zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi. Popyt na nie świadczy bowiem o postępującej erozji bądź też nieumiejętności komunikacji. Można powiedzieć, że powoli praktyka społeczna sprzeniewierza się samej sobie i rozsadza filary, które od lat stanowiły jej stabilny fundament. Bo jak inaczej nazwać fakt, że pojęcia, które dotychczas budowały jej istotę, czyli zaufanie, zrozumienie, prawdomówność, lojlność czy wybaczenie, mają dzisiaj status wydmuszek, słów pięknie brzmiących, ale pustych, beztreściowych, bezwartościowych? Cóż takiego się stało, że ufność kojarzy się dzisiaj z naiwnością i głupotą, z kolei jej przeciwieństwo – podejrzliwość – urosło do rangi zalety?

A czy nie byłoby miło, rozmawiając z dziennikarzem, móc skupić się na tym, co ma się do powiedzenia, a nie skrupulatnie ważyć słowa, by nie dać się wmanewrować w instytucjonalne rozgrywki? Czy nie byłoby lżej nie przejmować się pozostawionym w przedziale bagażem, gdy chcemy rozprostować kości i nie robić pospiesznie zakupów w obawie czy rower nadal stoi tam gdzie go zostawiliśmy?

Ale póki co ostrożności nigdy za wiele. Lepiej mieć na podorędziu prawo prasowe, bagaż podręczny trzymać zawsze przy sobie, a co się tyczy roweru, koniecznie zainwestować w solidny łańcuch i kłódkę z szyfrem.



Andrzej Mikołajewski

Początki są trudne. Kurewsko. Również lektury pijaka Bukowskiego, który kiedyś mocno przykleił się do życia, choć nie tego samego. Długa opowieść o wprasowywaniu kolejnych kobiet w pościel tym razem nie chciała się czytać, zgrzytał kółkiem świat bez wartości, smutne to było, dalekie i nieswoje. Sam sobie nie wierzyłem, siebie nie poznawałem, który gdy młodszy to z wypiekami i zawsze kończąc kolejną pozycję samobójem w knajpie. Ile razy po zamknięciu książki po prostu schodziło się klatką w dół z azymutem nocnego, brało swoje i przez chwilę czuło, że ten bezsens może i jest bezsensem, ale za to takim pięknym. Zimnym też jak kosmos, bo chwilowy stan harmonii z Chinaskim gorąc rozpoznaje tylko w procencie i może jeszcze w nieświeżym pocałunku.

Lecz nie tym razem. Bieg nie wchodził, pięknoduchem się stałem, kumplem Apollina przepasanym szarfą. Kilka podejść, małe rozdziały i tylko rosnące obrzydzenie. Nawet mając wyjeżdżać w kilkudniowy objazd, i to raczej towarzyski, nie myślałem włożyć Kobiet do torby. Do czasu…

Pierwszy dzień z dawna oczekiwanego urlopu znalazł mnie w kawałkach. Przykutego na przemian do maila, którego akurat tego dnia nie musiałem odbierać, fejsa, który jak się przypałętał przypadkiem tak z konieczności nie chce odejść, lektur artykułów bez związku, kolejnych nawyków leniwca wycinanych w godzinach pracy, które w momencie urlopu puszczone samopas zaczęły pożerać mnie częściami, jeden po drugim, rozrzucając co zostało na boki. Jednym słowem: bezsens, rozsypka, znajomy skądinąd absurd życia jałowego, wypychający czas dokładnie tym, co najmniej istotne. Stan pogłębiał się z godziny na godzinę, aż do pytań w głowie co do sensu najprostszych czynności. Ostatnimi siły zebrany, już wieczorem, miotając się między płaczem a wściekłością, wziąłem taksówkę, torbę, szybką decyzją Bukowskiego i ruszyłem na dworzec.

[…]

Wkurw był ostry, czekały mnie trzy godziny jazdy w Świętokrzyskie. Nie było wyboru, trzeba czymś zająć myśli i się uspokoić. Więc Bukowski…Teraz wchodził jak woda, spieniony

lewym okiem

ściek do Wisły, zimna wódka w Zezie. Wszystko się zgadzało, po kilku kwadransach na powrót rozumieliśmy się – wszechświat, pisarz i ja.

Tak wypełzła alchemia życia, które czasem pęka, pluje kwasem i etanolem, bezsilnością wobec materii, nawyków, małości i spazmów ambicji. Całym tym syfem, który najchętniej bym ukrył pod cudzym łóżkiem, uniesieniem brwi odnotowując jego wykwity u innych. Tak, Bukowski to poeta nizin, cholernie dobry poeta, precyzyjnie punktujący pozbawiony z tych pozycji treści świat. Trzeba zejść do niego, spaść może, zbratać się wówczas i jeśli taki wybór, na powrót wrócić do świata koszul i lunchy. Ale drania odwiedzać trzeba i życie samo o to zadba. Przynajmniej moje.

Tak sobie myślałem, już spokojny wychodząc z autobusu. By lecieć w dół nie potrzebuję niczego, wystarczy puścić się w co najprostsze i zdać na grawitację. Pajęczyna szybko pęka. Ewentualny sprzeciw pobić szkłem, lub inną ucieczką. Bezwolnie gdzieś tu mieszka. A teraz szedłem w górę, do domu rodzinnego, gdzie żem synuś itd., żaden melanż, samo światło. Zwarcie i gotowość. Cóż, mieszając w szklance słowa Bukowskiego: skoro i tak będzie na dwoje – a po oświetlonej stronie drogi ciągle iść nie sposób – wybierz to, co kochasz bardziej, i pozwól, by właśnie to cię zabiło.

ILUSTR. ŻANETA ANTOSIK





SUBIEKTYWNY I STRONNICZY
ALFABET MODY POLSKIEJ
PRZYGOTOWUJE DLA WAS
MAGDA WICHROWSKA

A – Ania Kuczyńska

Zaczynam od zdublowanego A. A jak nazwa cyklu „Alfabet mody polskiej" i A jak Ania Kuczyńska, czyli marka, od której zaczynam wędrówkę po historii i aktualiach mody polskiej. Cykl otwieram bardzo asekuracyjnie, marką znaną i cenioną przez ekspertów, ale (uprzedzam!) nie prestiż będzie wyznacznikiem kolejnych alfabetowych wyborów. I marki nie będą jedynym tematem do rozebrania na modowym skrawku „Menażerii". Po głowie chodzą mi fantastyczne osobowości związane z modą polską: projektanci, fotografowie, styliści, artyści; zjawiska, rzeczy kultowe i modowe masthewy. Jedyne, co mnie ogranicza, to alfabet i czas. A tego ostatniego potrzeba wiele, by być na bieżąco z rodzącymi się talentami, pomysłami i tendencjami. Mojej wielkiej polskiej modowej eskapadzie towarzyszyć będzie nieoceniona i szalenie uzdolniona rysowniczka Żaneta Antosik, która w pierwszej odsłonie „Alfabetu" sportretowała dla Was Anię Kuczyńską.

Właśnie, to dobry moment, by przejść do głównej bohaterki marcowego felietonu – marki Ania Kuczyńska. Jej znak rozpoznawczy to niebanalne kroje – zdarza się, że bez wykończenia – geometryczne cięcia, kobiecość, wygoda i niewymuszona elegancja. Kuczyńska swoimi projektami nie stawia kropki nad „i", oddając pole niedopowiedzenia swoim klientkom.

Na swoim koncie ma dwie ważne nagrody przyznane przez polskie środowisko modowe: Elle Style Awards i Doskonałość Roku „Twojego Stylu" – tytuł „Projektant Roku". Jej kolekcje znane są na rynku niemieckim, włoskim i japońskim.

Posługując się nieprzypadkowo terminologią filmową, jest Kuczyńska autorką – wprawdzie nie kina a mody – z dużym wdziękiem, swadą, lekkością i świadomością siebie, bez trudu przenosi nas w swoją modową fabułę. Publiczność świadomą projektantka uwodzi spójną otoczką charakterystycznych sesji zdjęciowych, wyborów przestrzeni, detali, skrupulatnie budując siatkę odniesień i znaczeń. Publiczność przypadkową przykuwa głównie formą. Często też odwołuje się do pereł X muzy i gwiazd kina, które są dla niej inspiracją. Tak jest w przypadku kolekcji Gold Dust Women (nazwa pochodzi od szlagieru Fleetwood Mac) na sezon wiosna–lato 2013. Muzami kolekcji projektantka ogłosiła boski duet szalonych lat 70. – Anjelicę Huston i Jacka Nicholsona. Tym razem Kuczyńską zafascynowała cielesność. Sporo wycięć i frywolnych głębokich dekoltów nie czyni jednak z jej kolekcji odważnego wyłomu, raczej konsekwentnie kreśli stałość projektantki w odkrywaniu kobiecości. W kolekcji znajdziemy piękne klasyczne tuniki, nieco frywolne udrapowane suknie oraz piękne lejące kloszowane spódnice. Wszystko w ascezie barw: czerni, beżu, kremie i błękicie. Prostota, nonszalancja, minimalizm i złoty pył!

Ciekawostka

Na 63. Berlinale International Festival w czarnym komplecie z kolekcji Gold Dust Woman pojawiła się Małgorzata Szumowska.

Joyrider

Projekt Joyrider Moritza Waldemeyera jest kombinacją roweru z maleńkim elementem świetlnego tuningu, montowanym na dwóch szprychach każdego koła. Układ z mikrochipem i pojedynczą diodą z każdej strony zestraja obrót koła, i zapalanie się diody w taki sposób, żeby podczas jazdy na kole pojawiał się stary, dobry Smiley rozsyłający wokół swój żółty uśmiech zawsze w kierunku patrzącego z boku przechodnia.

Gdy na charytatywnej aukcji rower osiągnął zawrotną cenę 2000 funtów, oczy zwróciły się w jego kierunku z mieszanym odczuciem zachwytu i rozczarowania. Wow! Ale... to wszystko? Designer-inżynier, znany już wcześniej z realizowanych z wielkim rozmachem świetlnych projektów we współpracy chociażby z Zahą Hadid, Kylie Minogue czy Dom Perignon, tym razem zaskoczył minimalizmem, prostotą i ciepłem przekazu.

Mogłoby się wydawać, że Waldemeyer obniżył nieco swój technologiczny lot, ale efekt wyjściowy tego projektu jest drobiazgowo przemyślany w kierunku ostatecznego tuningowego Zen. Zgodnie z regułą minimalizmu, gdzie odejmowanie szczegółów oznacza dodanie wartości estetycznej, Joyrider natychmiast przerósł o głowę swojego poprzednika Spoke POV, który krzykliwie wyświetla obrazy i wzory na całości rowerowych lub samochodowych kół. W ujęciu Waldemeyera zostały z tego dwie niezbędne żółte kropki i jedna żółta kreska, układające się w znany wzór, uniwersalny symbol radości i złoty (żółty?) środek między glamour, kiczem i swojskością retro.

Proste, ale czy warte rzeczone 2000 funtów? Cóż, powszechnie wiadomo, że w designie płaci się głównie za ideę, ale jak na wielkiego designera przystało Waldemeyer nie zapomniał o dotyku luksusu i wyrafinowania także w kwestii materiałów wykorzystanych w projekcie. Układy scalone wykonane są ze srebra sygnowanego przez Svarovskiego, a całość zamknięta jest w maleńkiej skórzanej szkatułce, na kształt jubilerskiego cacka.

Za to sam żółty rower jest najprostszy na świecie. To znów zabieg celowy, mający na celu swoisty powrót do korzeni, zbalansowanie świetlnego tuningu i wyrównanie płynącego z produktu przekazu: po co kombinować, skoro można po prostu pojeździć, z przyjemnością, tak jak kiedyś?

Mariaż designu z technologią, nieuchronnie wpisany w rytm naszych czasów, wydaje czasem cierpkie owoce; przekombinowane w formie kosmiczne kształty, zaburzający harmonię nadmiar wrażeń wizualnych albo brak jakiegokolwiek sensu użytkowego. Joyrider nie przekona jedynie zagorzałych przeciwników wprowadzania w codzienne życie technologicznych nowinek. Pozostali, także nie-rowerzyści, bez wątpienia znajdą w nim jednak coś dla siebie: ikoniczną wyrazistość znanego symbolu, designerski, niemalże obrazoburczy w swej prostocie, akcent, elegancki minimalizm konstrukcji, sprytny technologiczny gadżet, praktyczne oświetlenie boczne roweru oraz niezwykły posmak vintage, na poły modny i ckliwy, zawarty w nawiązaniu do zwykłej przyjemności jazdy na rowerze i płynącej z niej wprost radości, bez względu na to czy koła śmieją się wokół modnym gadżetem, czy nie.

Be a joyrider!

http://www.waldemeyer.com/

Karolina Wiśniewska

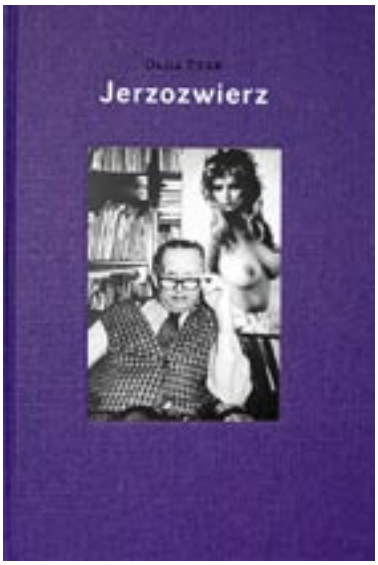


Joyrider by Moritz Waldemayer

IMAGES COURTESY OF MORITZ WALDEMEYER - ZDJĘCIA DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MORITZA WALDEMAYERA



książka



JERZOZWIERZ I PTAK

Młoda pracownica gliwickiego muzeum otrzymała niezwykłe zadanie – uporządkować archiwum domowe Jerzego Lewczyńskiego, nestora polskiej fotografii. Zapewne z początku nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielkie jest to wyzwanie. Lewczyński to „fanatyk pamięci" – przez długie lata chaotycznie gromadził wszystko, co wpadło mu w ręce. Każdy skrawek papieru uznawał za cenny dla stworzenia „dokumentacji życia": notatki, listy zakupów, rachunki, pocztówki, instrukcje, jadłospisy, pisma urzędowe… Jego archiwum pochłonęło już połowę mieszkania. Opanowanie i skatalogowanie tego archiwum zajęło parę miesięcy, zaś w tym czasie materiał do napisania książki o Lewczyńskim niejako zgromadził się sam.

Książka Olgi Ptak nie ma na celu analizy twórczości Jerzego Lewczyńskiego, którą reprezentują w niej jedynie jego autoportrety. „Twórczość fotograficzna stanowi jedynie tło spotkania dwojga ludzi, których na pozór dzieli wszystko – wiek, płeć, pochodzenie, poglądy, życiowe doświadczenia". Z zapisu codziennych rozmów, pełnych dygresji i anegdot, wyłania się portret wyjątkowo inteligentnego i przenikliwego człowieka, pełnego pasji, obdarzonego specyficznym poczuciem humoru. Autorka nie ukrywa licznych wad samolubnego i niekiedy despotycznego artysty, który wydaje się być dość trudnym we współżyciu, jednak przedstawia je w sposób zabawny i z wyraźną sympatią. Trudno się nie uśmiechnąć czytając o sekretnych wyprawach Lewczyńskiego po ulubioną Metaxę, o perypetiach z pękniętą sztuczną szczęką czy z zaginioną ulubioną łyżką do zupy. Cóż, wielcy artyści mają prawo do swych fanaberii.

Niezmiernie interesujący jest niepublikowany do tej pory zapis listów Zdzisława Beksińskiego do Jerzego Lewczyńskiego. Zachowane listy, które stanowią jedynie część ich półwiecznej korespondencji, świadczą o niezwykłej zażyłości pomiędzy tymi dwoma artystami. Z korespondencji wyłania się obraz Lewczyńskiego widziany oczyma przyjaciela, wiernie przedstawiający jego różne dziwactwa i natręctwa, a jednocześnie – jakby w tle – szczere uznanie i przywiązanie.

Zważywszy, że od poznania artysty do oddania książki do druku minął zaledwie rok, Autorce należy się wielkie uznanie za tak wnikliwy i barwny jego portret. Z notatnikiem w dłoni, umiejętnie prowokując Lewczyńskiego do wyznań, z dużą spostrzegawczością i wyczuciem wychwytuje warte spisania anegdoty i tyrady. Zaś sam Lewczyński nakłania ją do rejestrowania własnych słów: „Notujcie to wszystko, zapisujcie i nagrywajcie, bo beze mnie już nic nie będziecie w stanie zrobić. Ja wam to wszystko opowiem". Olga Ptak wzięła sobie te słowa do serca, dzięki czemu dziś możemy się cieszyć tą pięknie wydaną i niezwykłą książką.

Anna Ladorucka

Jerzozwierz
Olga Ptak
Czytelnia Sztuki
2012



POLITYCZNE UWIKŁANIA

Wydane przez wydawnictwo „Sic!" *Wiersze polityczne* Jarosława Marka Rymkiewicza, poety i profesora polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim, są autorskim wyborem tekstów powstałych na przestrzeni ponad 50 lat jego pracy twórczej. Już sam tytuł w sposób jednoznaczny określa charakter tego wydawnictwa, mianowicie mamy tu do czynienia z poezją, która z założenia ma funkcjonować w przestrzeni publicznej jako głos zabrany w sprawach obywatelskich. Tematyka tych wierszy jest zarówno reakcją na współczesne mu wydarzenia o charakterze polityczno-społecznym, jak i przywoływaniem historii i jej duchów, które obrazują pewne postawy utrwalone w narodowych mitach i sposoby rozumienia tożsamości Polaków.

Rymkiewicz podejmuje się trudnego i, zdawałoby się, niewdzięcznego współcześnie zadania, wybierając tradycję liryki o charakterze politycznym, której korzeni i źródeł, jak i autorskich inspiracji należałoby się doszukiwać między innymi wśród poetów rzymskich, u Kochanowskiego, romantyków, w poezji okupacyjnej, ale także w twórczości jego rówieśników, którzy używali pióra do walki z reżimem komunistycznym z różnym skutkiem lub wręcz przeciwnie – do jego wychwalania (Herbert, Szymborska i inni). Autor robi to jednak z pełną świadomością – o czym świadczy

wybór, a także odległość dat powstania poszczególnych wierszy.

Tom otwiera utwór *Na śmierć nieznanego obywatela* z debiutanckiej książki *Konwencje* i stanowić może określenie, w kontekście następnych utworów, pewnego pola odbioru całości, która będzie dotyczyła szeroko pojętych spraw narodowych. Tym wielkodusznym gestem godnym narodowego wieszcza wprowadza nas Rymkiewicz w swoją poetycką wizję historii, świata, wyraża się za pomocą poezji w kwestiach dotyczących nas wszystkich, wyraża także poprzez poezję swoje poglądy, które nie wszystkim podobać się muszą. Nie unika przy tym martyrologicznych tonów. Wybór pełen jest odniesień do tradycji sarmackiej, do narodowych mitów i – co jednocześnie odważne, jak i dość frapujące u autora kunsztownych w formie wierszy – zdaje się je pielęgnować i powtarzać.

Jest to jeden z podstawowych problemów tej książki. Jej wewnętrzne bogactwo służy sprawie politycznej, wikła nas w meandry poglądów samego autora. Tam, gdzie poeta jest najbliżej wyrażania, niemalże bezpośrednio, swoich poglądów na współczesną Polskę, tam jego wiersze wydają się być najmniej wartościowe. Niech za przykład posłuży utwór *Do Jarosława Kaczyńskiego*, gdzie, skądinąd znany ze swoich prawicowych sympatii, Rymkiewicz wykonuje gest zbyt jednoznaczny, przez niektórych uznany nawet za populistyczny.

Napisałam, że jest to frapujące, bo przykładów takiego wchodzenia w problematykę polityczno-społeczną i wyrażania radykalnych często przekonań autora za pomocą poezji jest znacznie więcej. Bo jak na przykład wyjaśnić obraz „trupa Michnika" z wiersza *Warszawa Śródmieście – Milanówek. 23:42* lub wychwalanie zasług w walce z zaborcą sztyletnika z wiersza *Emanuela Szafarczyk*? Obrazują one, jak w posłowiu, dwie Polski – Polskę zdrajców i Polskę bohaterów. Ten podział, inne podziały, także zbyt patetyczne szafowanie kwestiami narodowymi nie mogą pozostawić odbiorcy obojętnym. Co będzie, jeśli jednak tak się stanie, jeśli przekaz tych wierszy trafia tylko do określonego grona, Polaków jasno określonych politycznie i chyba nie będzie tutaj nadużyciem, jeśli dodam, że zorientowanych prawicowo?

Nie można odmówić Rymkiewiczowi poczucia romantycznego ducha (nawiązanie do Mickiewiczowskiej *Reduty Ordona* w wierszu *Mogiła Ordona*), nie można mu odmówić postawy tyrtejskiej, szlachetnych przywołań ofiar wielkiej historii (*Poeci gruzińscy*, *Już minęło pół wieku*), ale nie można też oprzeć się wrażeniu prowokacyjnej wręcz (bo jakże inaczej to ująć?), często grubo ciosanej retoryki pełnej bezgranicznej wiary w narodowe mity, z którymi należałoby postępować znacznie bardziej ostrożnie. Jeśli bowiem wiersze te, pełne wysokiej jakości artystycznej odniesień i motywów, stanowią pokłosie wieloletniej pracy twórczej, badawczej, przemyśleń dotyczących historii, a także swoistą próbę wpłynięcia na jej bieg, to agitacja w takim stylu może wydawać się pewnym anachronizmem. Maria Janion w latach dziewięćdziesiątych po upadku systemu komunistycznego stwierdziła koniec paradygmatu romantycznego, a więc koniec pewnej epoki, w której odwoływanie się do mesjanizmu, utopii i mitów narodowych właśnie stanowiło podstawę tłumaczenia sobie miejsca Polaka i rolę jego narodu w świecie. Jarosław Marek Rymkiewicz zaprzecza tej hipotezie (jdnak) na polu literatury.

Niewiele warte byłyby te wiersze, gdyby nie zostały dobrze napisane. Większość utworów jest rymowana i melodyka zdania, znak rozpoznawczy autora, ujmuje w obrazkach, za które moim zdaniem można cenić go najbardziej. Rymkiewicz jest poetą szczegółu, to szczegół i umieszczenie go w szerszej, niekoniecznie politycznej perspektywie czynią autora mistrzem rzemiosła poetyckiego. To, co ujmuje mnie w tych wierszach najbardziej, z polityką tak pojmowaną niestety się nie wiąże. Warto przywołać jeden z bardziej znanych, a także jeden z najlepszych z danego wyboru wiersz o autotematycznym nieco charakterze *Osip Mandelsztam idzie z konwaliami*, którego puenta („Żałobny dzwon powietrza pod Fontanka dzwoni/ Poezjo, ja pamiętam, że ty jesteś po nic!") w kontekście pozostałych wierszy wydaje się pewnego rodzaju tragicznym wyznaniem bezsilności podmiotu wobec poruszanej problematyki. Nie szukam w tych wierszach podmiotu wyznającego bezsilność, ale liryzm takiego wyznania wydaje mi się nieodparty i podszyty jakąś większą, niż tylko polityczna, świadomością.

Takich momentów jest jeszcze więcej, ale giną one w podniosłej i martyrologicznej tonacji całości. Uważny czytelnik doszuka się subtelnych opisów przyrody (*Nie wołaj*), nieco bardziej intymnych związków z przestrzenią i określaniem swojego miejsca w świecie (bądź co bądź – politycznym) w wierszach takich jak *Ogród w Milanówku. Zdziczałe Jaśminy* z nagrodzonego Nike tomu *Zachód słońca w Milanówku* czy *My jedziemy od Brwinowa*, gdzie poczucie więzi z miejscem pochodzenia podmiotu lirycznego i jego historią jest nieco bardziej subtelne.

Wiersze polityczne Jarosława Marka Rymkiewicza są przedsięwzięciem we współczesnej literaturze dość osobliwym i łączącym w sobie wiele sprzeczności: erudycyjność i jednocześnie uproszczona interpretacja historii, szczegóły i intymne przeżycia z wielką historią w tle itd. Warto może wspomnieć o tym, że i czas, w którym wiersze te, w danym układzie, zostały wydane, był nasycony wydarzeniami, które ukazały jak zróżnicowany jest nasz kraj pod względem rozumienia jego dziejów i miejsca w świecie (politycznym). Katastrofa smoleńska i szum medialny wokół tego wydarzenia z pewnością pomogły Rymkiewiczowi zaistnieć jako poecie, któremu nieobojętny jest los Polski, nieobce są jej bieżące problemy, przy czym również z pewnością pomogły autorowi w zdobyciu nowych czytelników.

Ale wizje Rymkiewicza trafiają na z góry określony grunt, postawa autora jest w tych wierszach jasno, może zbyt jasno, określona, co w moim przekonaniu nie służy tej poezji z kilku powodów. Otóż połączenia polityki i poezji mogą mieć złe skutki, a gdy dodamy do tego świat mediów, to sprawa rysuje się jeszcze gorzej. Zdaje się, że kreowanie się na wieszcza w tak dosłowny i trącący nieco myszką sposób jest przedsięwzięciem dość karkołomnym, bo i wiersze te w medialnej zawierusze mogą tracić na wartości, mogą stawać się narzędziem walki, manipulacji lub po prostu argumentem w niesłusznej sprawie (politycznej). I chociaż sam Rymkiewicz sprawę uważa za jak najbardziej słuszną, to jednak *Wiersze polityczne* tracą już na samym początku jako przedsięwzięcie koniunkturalne, jakby autor i jego wydawca na fali wypadków próbowali zbudować mit poety zaangażowanego politycznie. Co tu się z resztą udaje, chociaż mity tak zbudowane u świadomego odbiorcy mogą tracić rację bytu jako produkt konsumpcyjny we wspólnotowym opakowaniu i działanie obliczone na medialny rezonans.

Jeśli traktować ów wybór jako jedyny lub jeden z nielicznych współczesnych głosów poezji obywatelskiej, świadczyłoby to być może o tym, że taka poezja społecznie pełni już coraz mniejszą rolę. Chociaż inne zjawiska w poezji najnowszej świadczą o tym, że tak nie jest. Być może właśnie Polska, o którą walczy Rymkiewicz jest projektem nieosiągalnym, Polska tych wierszy to po prostu sen, który można skomentować słowami samego autora z zakończenia wiersza *Kiedy się obudziłem* z tomu *Ulica Mandelsztama i inne wiersze* z lat 1979-1983:

„A kiedy znów się obudziłem, mój syn
szedł do szkoły,

Huczało poranne miasto, więc jeszcze
nie czas."

Z pewnością wiele jeszcze pytań w związku z Wierszami politycznymi nasuwa się po ich przeczytaniu, bo nawet jeśli „już nie czas", to zawsze jest czas, żeby się nad tym zastanowić.

Ewelina Kaszkowiak

Wiersze polityczne
Jarosław Marek Rymkiewicz
Sic!
2010

muzyka

Płyta, w momencie pisania tego tekstu, jest jeszcze niedostępna. Można posłuchać singli (*Default, Judge Jury and Executioner*), obejrzeć nagrania z koncertów, lecz pełny materiał ukaże się 25 lutego. Z jednej strony nic nowego pod słońcem, Thom Yorke trzyma się swojej estetyki. Z drugiej... to jeden z kilku wykonawców, których mogę słuchać ciągle, wszędzie, którego utwory są na playlistach wszystkich, będących w moim posiadaniu, urządzeń służących do odtwarzania muzyki. Od wielu lat.

Thom zebrał świetnych muzyków (Flea - Red Hot Chilli Peppers, Nigel Godrich - producent Radiohead, Becka, McCartneya, R.E.M., Joey Waronker - Beck i R.E.M. i Mauro Refosco) na potrzeby swojego solowego projektu (The Eraser). By móc to, co sam stworzył, przedstawić na koncertach. Współpraca najwyraźniej okazała się udana i zaowocowała omawianą płytą.

Powstał kompromis. Pomiędzy mechanicznymi, laptopowymi samplami Thoma, a materią żywych instrumentów. Thom chciał stworzyć taneczną płytę, jednak musiał wpleść w nią swój wokal. W innym wypadku, jak powiedział (choć mniej cenzuralnie), nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Starał się więc, by jego głos podkreślił jej charakter.

Projekt Thoma Yorke pozostaje otwarty. Sam, jak mówi, nie wie co z niego wyniknie. Ja również jestem ciekaw. Czekam na te dziewięć utworów... dziewięć utworów na dobry początek tego projektu.

Wiktor Łobażewicz

Amok
Atoms for Peace
XL Recordings
2013

Niezmiernie rzadko, ale zdarza się, że podczas przeszukiwania zasobów internetu trafiamy na jego jasną stronę. Znajdują sie tam tacy wykonawcy jak Piers Faccini. Muzyk, malarz i znakomity tekściarz. Urodził się w Londynie, jego ojcem jest Włoch, matka jest Angielką, wychował się we Francji. Trójjęzyczny, lecz teksty pisze po angielsku, gdyż uważa że tym językiem posługuje sie najlepiej i w nim potrafi zawrzeć najwięcej znaczeń. To słychać. Jego muzyka jest różnorodna, są w niej ślady angielskiego folku, bluesa z delty Missisipi, włoskich, jak i afrykańskich rytmów.

My wilderness jest czwartym solowym albumem Facciniego, w całości przez niego wymyślonym, nagranym w domu we Francji i samodzielnie wyprodukowanym. Moim ulubionym. Utwory są stylistycznie mocno zróżnicowane, ale nie zrezygnowałbym z żadnego z trzynastu utworów, które się na nim znajdują. Ciekawe jest instrumentarium. Na pierwszym planie słychać gitarę, perkusję, trąbkę, wiolonczelę i skrzypce. Oszczędnie użyte zostały egzotyczne instrumenty, których nazw nawet nie będę wymieniał, nadają one jednak specyficzny koloryt utworom i sprawiają, że z zaciekawieniem słucha się każdego z nich. Na swoich dzikich bezdrożach, myślę że tak można interpretować tytuł płyty, Faccini znajduje i transowe rytmy, i ciekawie opowiedziane ballady, zachęca też do nieskrępowanego tańca. Jeśli nie znacie Facciniego, a nie sądzę byście znali, zachęcam stanowczo do posłuchania. Zmusić nie mogę. Niestety.

Wiktor Łobażewicz

My Wilderness
Piers Faccini
Six Degrees Records
2011

By być na bieżąco, sprawdzam, kto otrzymuje ważne muzyczne nagrody. Szperam, przeglądam i... strasznie się przy tym nudzę. Z reguły. Nie ustaję jednak w wysiłku, gdyż czasem trafia się taki zespół jak Alt-J.

An awesome wave to ich debiutancki album, choć trudno w to uwierzyć. Brzmi jakby muzycy mieli za sobą duży dorobek, a nie zaledwie dwa lata prób przed podpisaniem kontraktu z wytwórnią i wydaniem EPki. Już teraz maja duże grono fanów, szerokie plany koncertowe, zbierają świetne recenzje, no i zdobyli Mercury Prize dla najlepszej płyty w Wielkiej Brytanii i Irlandii w 2012 roku.

Muzyka Alt-J składa sie z elementów, które nie powinny ze sobą współgrać. Hip hop, folk, chóralne śpiewy, duża doza elektroniki, przesterów i żywe, paradoksalnie dominujące w każdym utworze, brzmienia gitary. Kluczową rolę odgrywa charakterystyczny wokal. Wszechstronny, czasem kojący, czasem drażniący, na pewno magnetycznie przyciągający. Nie będę go opisywał. Nie umiem. Trzeba go usłyszeć.

Wydaje sie to niemożliwe, a jednak powstał album spójny, klimatyczny, o pulsującej emocjonalnie dynamice. Dziwaczność i eklektyzm udało im się połączyć z uniwersalnością. Coś nowego i intrygującego. Polecam również rewelacyjne teledyski do utworów *Breezeblocks i Tesselate.*

Wiktor Łobażewicz

An Awesome Wave
Alt-J
Infectious Music
2012

film



LUX VERITATIS?

Noszę ten film w sobie od paru dni i wciąż nie pozwala mi uspokoić umysłu, i zamknąć się jak zamknięty rozdział. Nie jest więc to tekst pisany na sucho ani na chłodno.

Post tenebras lux to rodzaj filmu, któremu bliżej byłoby do poezji niż do prozy: liczy się chęć wyrażenia czegoś niewyrażalnego konwencjonalnymi środkami, „prozą". Chęć szukania takich sposobów ukazania elementów danego nam świata, by zaczęły mówić własnym językiem – niepodobnym do żadnego konwencjonalnego, a podobnym jedynie do tych, których twórcy szukają lub szukali podobnie – najszybsze skojarzenia: Tarkowski, Haneke i w zasadzie rówieśnik Carlosa Reygadasa - Apichatpong Weerasethakul (zresztą podobna szerokość geograficzna, oczywiście, przy niezmierzonych – przeze mnie – różnego rodzaju odległościach…).

Linearność filmu jest zawieszana – ma się wrażenie uczestnictwa w jakimś oglądzie świata, który prędzej czy później musi wywołać w odbiorcy przynajmniej minimum wrażenia współodczuwania z podmiotem tego oglądu. Da się jednak streścić pewną opowiedzianą w nim historię – tylko po co…

Może zbyt daleko idące me skojarzenie z *Meksykańskim snem* Le Clezio, ale może trafne…? Miałem mianowicie poczucie śnienia podwójnego (i to meksykańskiego!) snu, gdzie wątki senne wciąż się ze sobą przeplatają, a tylko gdzieś między nimi płynie delikatnie strużka realności, prozy, linearności. Za jej sprawą łączy się ten ogląd w jedną całość, choć i w tak poskładanej całości widzę wyłomy. Pytanie tylko, czy to mój brak spostrzegawczości albo pogłębionej analizy, czy też świadoma chęć stworzenia przez reżysera szczelin zza których prześwituje warstwa głębsza, jakiś bardziej od linearności fundamentalny sens – odczuwalny już raczej tylko intuitywnie?

Ale nie tylko taką – intuitywną i niezwerbalizowaną – drogą moglibyśmy się dokopać głębszych warstw sensu tego oglądu. Również widać głębokie zanurzenie ludzi w świecie przyrody, jedność z nią – przy jednoczesnym wyobcowaniu, które momentami daje się wyraźnie odczuć; zresztą podobnie wyglądają relacje w samym już świecie ludzkim. Tam, gdzie nie ma otwarcia na głębsze odczuwanie jedności, jest wyobcowanie, które może przeradzać się w lęk, a może prowadzić do upadku moralnego.

Tu bym też doszukiwał się, sugerowanej przez Reygadasa, zawartej w filmie krytyki współczesnej cywilizacji. Ale nie chciałbym rozwijać wątku.

Chciałbym za to gorąco polecić film, również sobie, do ponownego obejrzenia. Mimo zamierzenia, któremu łatwo by było (w przypadku przeciętnego twórcy) ocierać się o pretensjonalność, silenie się na coś, co poza możliwościami intelektualnymi, warsztatowymi reżysera, Reygadasowi udaje się dotrzeć odważnie i w sposób autentyczny do czegoś nie pozwalającego uspokoić umysłu. Niejednoznaczny, niełatwy film – pozostawia dziwne i niepowtarzalne odczucie.

Na koniec drobne ostrzeżenie dla osób o słabszych nerwach… W filmie zobaczymy co najmniej jedną scenę, po której można mieć koszmary i która dosłownie boli… Ale również i tu reżyser pokazuje klasę: nie chodzi Reygadasowi o epatowanie przemocą – również te trudne momenty wynikają logicznie, na zasadach bardzo niekonwencjonalnej logiki, z materii tego filmu.

Marek Rozpłoch

Post tenebras lux
reż. Carlos Reygadas
Stowarzyszenie Nowe Horyzonty
2013



TROCHĘ INNY TARANTINO

Po przygodzie z nazistami Quentin Tarantino postanowił uszczknąć odrobinę z historii Stanów Zjednoczonych i tradycyjnie już z historii kina gatunków. Jednak nie dajmy się zwieść. Western Tarantino jest raczej pokłosiem postmodernistycznej mozaiki niż hołdem dla ikonografii i języka klasyki gatunku.

No właśnie, od języka zacznijmy. Mrukliwi zazwyczaj, żyjący w świecie własnych wartości, moralnych kodów i zawodowego etosu bohaterowie westernów w obrazie Tarantino stają się nieprawdopodobnymi gadułami. Ma się wręcz wrażenie, że pojedynki, które toczą, odbywają się raczej w przestrzeni dialogu: słów i gestów. To one są w obrazie Tarantino najistotniejsze, podnoszą temperaturę filmu i pchają fabułę do przodu. Oczywiście i wartka akcja, napędzana bijatyką osadzoną w poetyce bliskiej reżyserowi, znalazła dla siebie miejsce, ale nie łaknie jej widz już tak bardzo, jak obecności głównych bohaterów i rodzącego się między nimi uczucia… przyjaźni. Czyżby to po raz pierwszy Tarantino dotknął tak czułej struny? Na to wygląda i, co ciekawe, na jednej nie poprzestał, ale o tym później, dajmy się porwać historii. Kilka lat przed wojną secesyjną plotą się losy niewolnika Django i łowcy głów doktora Schultza. Jednorazowa wspólna akcja szybko przeradza się we współpracę i plan odbicia ukochanej Django z rąk plantatora. I tu dochodzimy do największego – w moim odczuciu – atutu filmu reżysera *Pulp*

Fiction. Obok popisów autorskich ma też Tarantino niezmiennie od wielu lat nosa do aktorów.

Pierwszy plan zdobył bez wątpienia Christoph Waltz. Ten filmowy kameleon równie przekonująco potrafi zagrać bezwzględnego (choć niepozbawionego wdzięku!) nazistę i łowcę głów o gołębim sercu. Drugi plan wypełniają zagubieni statyści pamiętający najlepsze czasy gatunku: chmurni i zadziorni farmerzy, pilnujący porządku Południa plantatorzy i układni urzędnicy. Szczególne kreacje stworzyli Leonardo DiCaprio w roli niedouczonego plantatora o kosmopolitycznym apetycie i Samuel L. Jackson w brawurowej roli jego prawej ręki i wieloletniego sługi.

Cóż poza apetyczną grą? Czy czujemy spełnienie? Z pewnością, jeśli przyjmiemy reguły gry Tarantino. Jeśli chcemy wykorzystać film mistrza cytatu i pastiszu do wejścia w mroczny świat niewolnictwa – niekoniecznie. Krwawa historia Stanów Zjednoczonych umyka tu w atrakcyjnie opowiedzianej historii ludzkiej. Ale czyż na tym właśnie nie opiera się wielka siła tego filmu? Kibicujemy temu osobliwemu duetowi byłego niewolnika Django i jego wybawcy doktorowi Schultzowi. Trzymamy kciuki, by ich drogę zwieńczył szczęśliwy finał – połączenie Django z utraconą przed laty ukochaną żoną. To przywiązanie do bohaterów jest u Tarantino czymś unikatowym. Zamiast gorączkowego wyczekiwania kolejnego gagu, wyłapania kolejnego cytatu, wyśmiania kolejnej oczywistości gatunkowej poddajemy się urokowi miłosnej historii, którą momentami z sentymentalną czułostkowością snuje autor. I chociaż brzmi to jak zarzut, wcale nim nie jest. Udaje się Tarantino zaprzyjaźnić widza ze swoimi bohaterami i oswoić z nimi. Coś tak uniwersalnego jak miłość i chęć bycia razem zbliża posklejane przez Tarantino osobliwości ludzkie do niedoskonałej i targanej namiętnościami widowni.

Magda Wichrowska

Django
reż. Quentin Tarantino
United International Pictures Sp z o.o.
2013

teatr



HEJ ŁYSY JOE!

Misie pluszowe nie lubią się gubić pod łóżkiem, zniosą jeszcze ogolenie im głowy (!), ale już z opuszczeniem i złośliwością dzieci mają duży problem. Chyba, że dziewczynka zachoruje – to zwyczajnie ogrania je smutek. Bo misie, jak i najmłodsi lubią być traktowani poważnie. Czy wolno im jednak opowiadać o śmierci? Jak najbardziej, gdyż niestety i ona bezpośrednio je dotyka. Nie zawsze wiemy, jak ze stratą najbliższych trudno się pogodzić nam, dorosłym, a tym bardziej jak wytłumaczyć ją naszym milusińskim? Okazuje się, że można mówić o tym, co jest ciągle tematem tabu u nas (ale nie jest już tak traktowane za Odrą). Cieszy więc, że Teatr „Baj Pomorski" ponownie (po *Pod-Grzybku* Marty Guśniowskiej) przedstawia dzieciom (od lat 7) spektakl o nieodwołanych prawach natury.

W swoim tekście *Pręcik* Malina Prześluga niezwykle delikatnie i z wyczuciem opowiada o chorobie Dziewczynki (Dominika Miękus), która dotąd zdrowo spała w swoim łóżku, na miękkiej Poduszce (Edyta Łukaszewicz-Lisowska), do szkoły wzywał ją Budzik (Jacek Pysiak), a na stópki wiernie czekali państwo Kapciowie (Edyta Soboczyńska i Krzysztof Grzęda). Pewnego ranka nie mają na kogo czekać i tak zwyczajnie nie wiedzą, co się stało. Przedmioty świat pojmują prosto: przecież była, teraz jej nie ma, jakże to tak? Nawet, jeśli dotąd codzienna rutyna wydawała im się męcząca i narzekały na nią, choć tego poranka cieszy je troszkę, że może mają dziś wolne – to z czasem ich niepokój zaczyna się wzmagać. Dziewczynka już ich nie potrzebuje? Czy może wyjechała? Tylko pluszowy miś, Łysy Joe (Krzysztof Parda), wie dobrze, co się stało: w nocy zabrało ją pogotowie. Przedmioty nie mają duszy, stąd nie zrozumiały powagi sytuacji, ale najwierniejszy powiernik Dziewczynki, Łysy Joe domyśla się, co to może znaczyć. Pluszowy miś ma bowiem w sobie to coś, o czym przejmująco wspomina: „Bo my, misie i ludzie, mamy w środku taki jakby pręcik. Gdy wszystko jest dobrze, to on świeci, jak w żarówce. Ale czasem jakiś inny człowiek albo przykre zdarzenie, czy choroba nam ten pręcik gasi.
I wtedy boli". Na jego nieśmiałe wezwanie wszyscy bohaterowie wskakują do torby i ruszają w podróż do szpitala.

Brzmi zbyt poważnie, by zabrać swoje dziecko na ten spektakl? Przeciwnie – sztuka Maliny Prześlugi wcale nie jest ponura, skrzy dowcipnym językiem, cytatami z filmów i reklam (może to ją nieznacznie psuje) oraz opowiada tę historię w formie literatury drogi – bo dobrze wiemy co nas czeka u jej końca. Relacje między przedmiotami opowiedziane są językiem dzieci, tak ja one to czują, ich emocjami i wyobraźnią. Stąd też tak barwny to teatr absurdu. Na uwagę zasługują świetna gra Edyty Łukaszewicz-Lisowskiej, w roli zadziornej Poduszki z dobrym sercem i bardzo wzruszająca kreacja Krzysztofa Pardy, jako obrażonego misia pluszowego. W zestawieniu z oryginalną animacją przedmiotami codziennego użytku, oraz stonowaną scenografią powstał piękny i mądry spektakl!

Na pokój Dziewczynki i salę szpitalną patrzymy z góry, co niesamowicie oddaje wrażenie dystansu do świata, który kiedyś wszyscy będziemy musieli opuścić. Autorem tej scenografii, jak i reżyserem

spektaklu jest Zbigniew Lisowski. To kolejne już przedstawienie dyrektora „Baja Pomorskiego", w którym tak wspaniale potrafi skupić uwagę najmłodszych. Zawsze zaskakują skupienie i otwarte z wrażenia buzie maluchów, zachwyconych multimediami oraz tym, że teatr jest nie tylko na scenie, a może otaczać je ze wszystkich stron. W *Pręciku* chmury płyną po suficie, następnie pojawia się biel szpitala a Smutne Łóżko (Mirosław Szczepański) przejmująco, jako anioł śmierci wynurza się w finale zza pleców widowni. Całość utrzymana jest jednak w barwach stonowanych, bez wielkich zwrotów akcji, migotania świateł, bez głośnej muzyki – o ilustrację dźwiękową spektaklu zadbali Rafał Skonieczny i Mateusz Jagielski. Spokojna, wykonywana na żywo muzyka tylko w finale narasta, Dziewczynka z Łysym Joe znikają za łóżkiem, a my w piosence Hotelu Kosmos słyszymy słowa: „(…) apogeum srogiej zimy, wiatr zatrzymał wskazówki (…)". Apogeum? Nie – to nie koniec, w pamięci na długo pozostanie liryczność tekstu Prześlugi, w *Pręciku* zostaną przedmioty, miłość, empatia i przekonanie, że choć tak to już z każdą stratą być musi i „coś się tu nie odbywa, jak być powinno" – to warto o tym rozmawiać.

Aram Stern

Pręcik, Malina Prześluga
reż. Zbigniew Lisowski
Teatr Baj Pomorski
premiera: 30 grudnia 2012



CZECHOW

BEZ FAJERWERKÓW

Wiśniowy sad w reżyserii Pawła Łysaka w bydgoskim Teatrze Polskim, choć zapowiadany jako bardzo współczesna wizja Czechowa, na szczęście umyka pokusie, żeby całość osadzić w ponurych realiach polskiego kapitalizmu, z Jepichodowa zrobić rodzimego biznesmena z drogim zegarkiem i słomą w butach, a z tekstu Czechowa – felieton publicystyczny. Uwagę widowni przykuwają nie tyle aluzje do dnia dzisiejszego, co dylematy postaci. Sprzyja temu bardzo solidne aktorstwo. Anita Sokołowska, grająca Raniewską, staje na wysokości reputacji, którą wyrobiła sobie wspaniałą rolą w monodramie *Komornicka. Biografia pozorna*. Buduje postać kobiety na pierwszy rzut oka przedsiębiorczej i pewnej siebie, ale od czasu do czasu pokazującej wewnętrzne rany. Kiedy dochodzą do głosu, ona sama głos traci, wpadając w rozpaczliwy, spazmatyczny bełkot. Michał Czachor w roli Piotra Trofimowa wychodzi z ironicznej maniery, do której już przyzwyczaił bydgoską publiczność, i staje się jednym z filarów przedstawienia. Doskonale wie, kiedy pozwolić swojej postaci na śmiertelną, kaznodziejską powagę, a kiedy dać jej się skompromitować, rozśmieszając publiczność.

Łysak i jego aktorzy wydobywają z Czechowa i melancholię, i humor – to przecież sztuka, w której tak samo intensywnie powinny wybrzmieć żałoba po przemijającym świecie jak i absurdalna przemowa Gajewa do starej szafki. Wszystko to w świetnej scenografii Barbary Hanickiej, której motywem głównym jest zbiegający się w głębi sceny korytarz z rzędami drzwi po każdej stronie; za drzwiami widać zarys kolejnego korytarza… I dom, i sad zmieniają się w przestrzeń pozornie uporządkowaną, będącą w rzeczywistości powodującym poczucie zagubienia labiryntem.

Przy wszystkich zaletach bydgoskiego *Sadu* nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że w przedstawieniu pojawia się dużo nie do końca zrealizowanych pomysłów, a jednocześnie brak mu pazura, który sprawiałby, że ta inscenizacja wybije się z grona innych przyzwoitych, ale nie rewelacyjnych realizacji Czechowa. Niekonsekwentnie prowadzona jest postać Szarlotty (świetna Magdalena Łaska). Demoniczna, odrealniona iluzjonistka najpierw wydaje się ponurym konferansjerem całości, przez chwilę kieruje ruchami i słowami najważniejszych postaci, a w końcu znika gdzieś na marginesie spektaklu i nigdy nie wiadomo, kim w nim *de facto* była. Szkoda – pomysł na jej rolę wydał mi się wspaniały i bardzo chętnie zobaczyłbym przedstawienie, w którym byłby konsekwentniej przeprowadzony. Mocno skrócony pierwszy akt dramatu Czechowa staje się chaotyczną serią wejść i wyjść, w której reżyserowi nie udaje się sztuka zapanowania nad tłumkiem zaludniającym tekst. Są postaci niemal zupełnie zaniedbane, jak Jepichodow (Jakub Ulewicz), który pojawia się na scenie dosłownie kilka razy. Nie do końca wiadomo dlaczego w spektaklu pojawiają się statyści, którzy nie mają do odegrania żadnej istotnej roli. Rozczarowuje też nijakie, sentymentalne zakończenie, przy akompaniamencie piosenki, a jakże, „Wiśniowy sad".

Podsumowując, bydgoskie przedstawienie nie jest ani arcydziełem, ani przełomowym, współczesnym odczytaniem sztuki Czechowa. Jest za to odczytaniem solidnym, dobrze naświetlającym motywacje postaci i umiejętnie balansującym między humorem, melancholią i okrucieństwem – tak, jak wystawiany dramat. To też niełatwe. Szkoda tylko, że w bydgoskim *Sadzie* tyle dobrych, ale niewykorzystanych pomysłów, które mogłyby być zalążkiem jeszcze lepszego spektaklu.

Paweł Schreiber

Antoni Czechow, Wiśniowy sad
reż. Paweł Łysak
Teatr Polski w Bydgoszczy
premiera 2 lutego 2013



Juliusz Lewandowski

juliusz-lewandowski.com



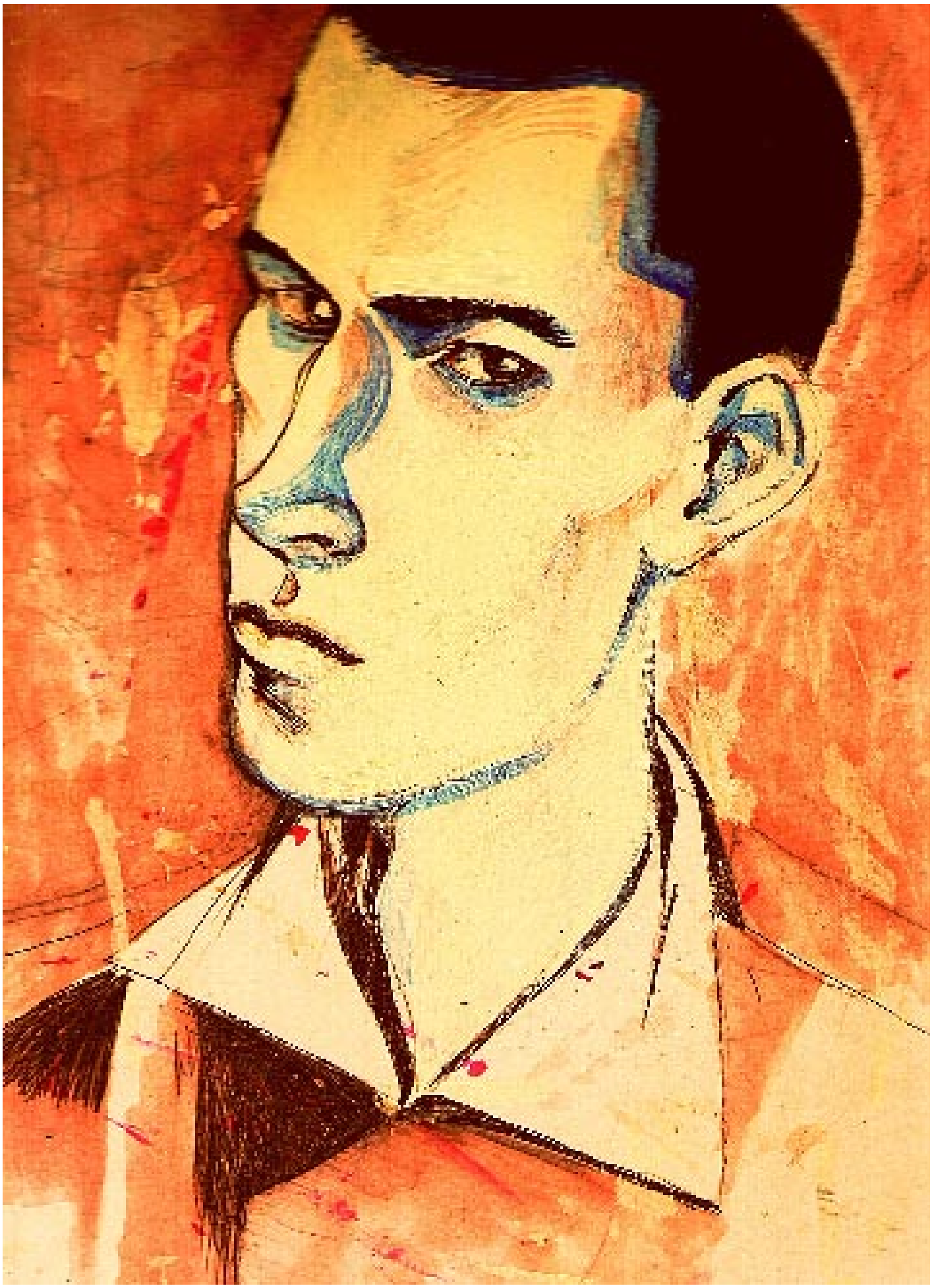










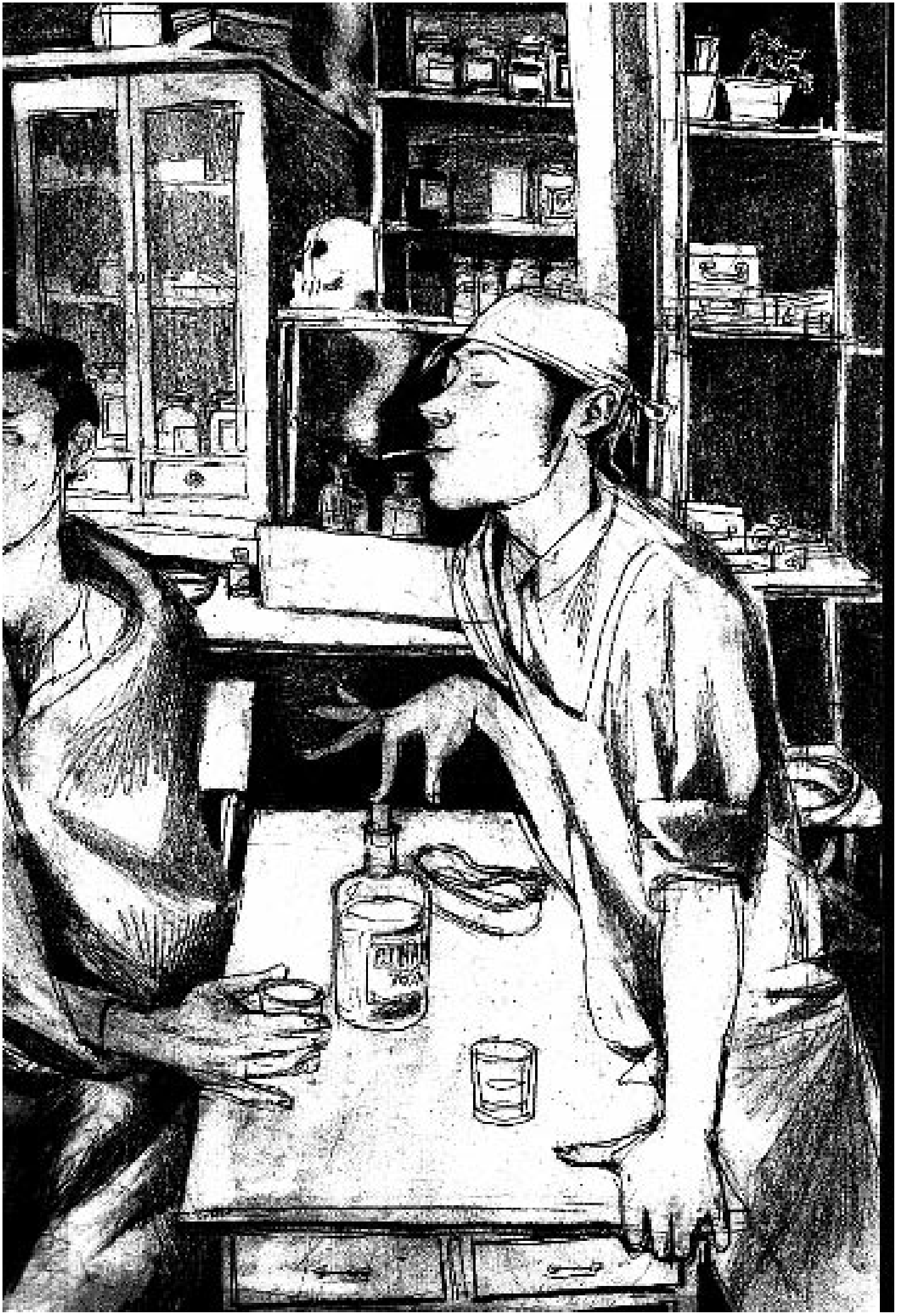














GALERIA WOZOWNIA 1.03



7CHN13N13 (TCHNIENIE)

Już 1 marca Galeria Sztuki Wozownia zaprasza na performance *7chn13n13* (*Tchnienie*).To wydarzenie wielozmysłowe, gdzie muzyka interpretuje obraz i z niego powstaje. Podstawą do obrazowania jest książka, która nosi tytuł: *918-578*. Artysta łączy w niej filozofię Alfonsa de Sade'a z Tomaszem Hobbesem i poezją Johna Miltona. W występie wykorzystuje animację komputerową, w celu połączenia liter z dźwiękami muzycznymi i z ruchem typograficznym na ekranie. Wersja sceniczna książki ma charakter generatywny. Artysta otwiera jej strony, włącza elementy animacji z dźwiękiem i ruchem liter. Efekty pracy rejestruje i poddaje selekcji w trakcie występu.

Roman Bromboszcz - poeta, pisarz, performer. Autor książek poetyckich, naukowych i art zine'ów. Wydawca internetowy, redaktor tomów z poezją cybernetyczną.

(MD)

Roman Bromboszcz, 7chn13n13 (Tchnienie)
1 marca 2013, godz. 18.00
Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

KLUB FADO 1.03



KROK W PRZÓD, CZYLI PLEASUREISMINE

Marzec otwieramy śpiewająco. Klub Fado, jak co miesiąc, trzyma rękę na pulsie i serwuje nam wydarzenia na wysokim poziomie. Tym razem w Aleksandrowie zagości grupa PleasureisMine. Krytycy twierdzą, że w ich muzyce czuć nastrój lat 90'tych, 80'tych, że jest to klimat nieco noir, pełny niejasności, ale w tym intrygującym znaczeniu. W listopadzie 2011 roku zadebiutowali koncertem u boku zespołu Cool Kids of Death i singlem *The PleasureisMine*. W maju 2012 wydali bardzo dobrze przyjętą przez krytykę EP *One Step Forward, One Step Back*, a w sierpniu przypomnieli o sobie singlem *Mannequins*. Mimo krótkiego stażu, zdążyli już zagrać na Green Zoo Festival wśród zespołów takich jak Lower Dens czy Moonface. Ostatnio też nie próżnują i na pierwszej tak dużej trasie zaprezentują nowy materiał. Usłyszą ich między innymi w Warszawie, Łodzi, Gdyni, czy Krakowie. Z chęcią usłyszymy ich i my!

(MD)

PleasureisMine
1 marca 2013, godz. 20.00
Klub Fado, Aleksandrów Kujawski

MÓZG 3.03

fot. Alicja Protasewicz



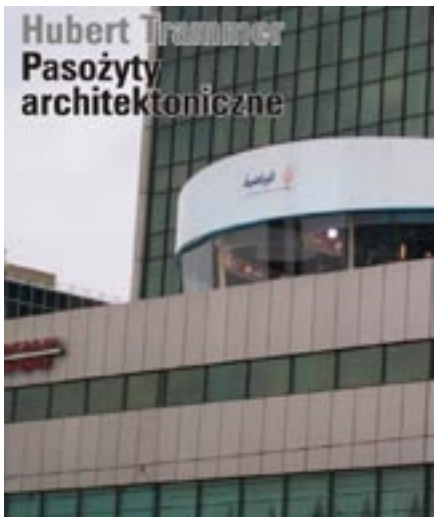
TRZY PIECZENIE NA JEDNYM OGNIU

3 marca wystąpi w Mózgu George Dorn Screams – zespół uznawany już ponoć za jeden z muzycznych symboli Bydgoszczy, a na pewno za interesujące zjawisko na polskiej scenie alternatywnej; zagrają też i zaśpiewają godni szczególnej uwagidwaj artyści z Dolnego Śląska: Janek Samołyk i Peter J. Birch. Więcej informacji o wykonawcach na stronie: http://mozg.pl/2013/01/2013--03-02-george-dorn-screams-koncert/

(MR)

George Dorn Screams, JanekSamołyk,
Peter J. Birch
3 marca, godz. 20.00
Mózg, Bydgoszcz

GALERIA WOZOWNIA
4.03



ARCHITEKTURA W WOZOWNI

4 marca Galeria Sztuki Wozownia zaprasza na wykład o architekturze. Poprowadzi go Hubert Trammer, który jest absolwentem Wydziału Architektury na Politechnice Warszawskiej i pracuje w Katedrze Architektury, Urbanistyki i Planowania Przestrzennego Politechniki Lubelskiej. Współpracuje z Muzeum Powstania Warszawskiego, Fundacją Twórców Architektury, miesięcznikiem „Architektura-murator". Wygłasza gościnne wykłady (także w Wozowni), publikuje artykuły o architekturze w pismach krajowych i zagranicznych, min. korespondent wychodzącego w Holandii dwumiesięcznika „A10". Pracuje również jako architekt. Jest współlaureatem wyróżnień w warsztatach i konkursach architektonicznych – współpracował przy projekcie, który otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie na Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej *Elektrownia* w Radomiu.

(AS)

ARCHITEKTURA W WOZOWNI,
Hubert Trammer / wykład
autorka projektu: Teresa Dudzińska
4 marca 2013, godz. 17.00
Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

KSIĄŻNICA KOPERNIKAŃSKA
4.03

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ/AG



RZECZY PIERWSZE: HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI

Podobno, zanim Hubert Klimko-Dobrzaniecki zajął się na poważnie pisarstwem, imał się różnych zajęć: był skubaczem indyków, mimem, świniopasem, robotnikiem rolnym, przemytnikiem diamentów, handlował kawiorem i dziełami sztuki. Choćby dlatego warto poznać tę ciekawą postać. Rozgłos jednak przyniosły mu dwie nowele wydane pod wspólnym tytułem *Dom Róży. Krýsuvík*, za które otrzymał nominację do Nagrody Nike. Klimko-Dobrzaniecki ma także na swoim koncie dwa tomiki wierszy po islandzku. Jego opowiadania pojawiają się w „Czasie Kultury", „Lampie" i „Twórczości". Jest stałym felietonistą miesięcznika „Odra". Teksty pisarza były tłumaczone na francuski, włoski, niemiecki, norweski, serbski, ukraiński i islandzki. Był wymieniany wśród kandydatów do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus oraz Nagrody Mediów Publicznych Cogito. W 2007 r. znalazł się wśród nominowanych do *Paszportu* „Polityki". Prawdziwie literacki człowiek renesansu. Warto przekonać się o tym na własne oczy (i uszy).

(MD)

Hubert Klimko-Dobrzaniecki
4 marca, godz. 17.00
Książnica Kopernikańska, Toruń

CARPE DIEM
4.03



ŚMIECHOBRANIE, CZYLI STAND-UP

Poniedziałkowe wieczory komediowe w Carpe Diem powoli stają się tradycją. To coś, czego nie da się opisać słowami. Trzeba tam po prostu być. Każdorazowa dawka humoru, śmiechu i rozrywki, sprawia, że nawet na znienawidzone poniedziałki można czekać. Tym razem będzie to stand-up - komediowa forma artystyczna w postaci monologu przed publicznością. Komicy z grupy Stand-up Toruń opowiedzą o tym, co leży im na wątrobie. Baczni obserwatorzy codziennej rzeczywistości pokarzą nam ją w krzywym zwierciadle, zarażą śmiechem i z pewnością podładują nasze akumulatory na resztę tygodnia.

(MD)

STAND-UP
4 marca 2013, godz. 20.00
Carpe Diem, Plac Teatralny 7, Toruń

TEATR IM. WILAMA HORZYCY
9.03



BODY ART

Do jakiego stopnia można się posunąć twórca sztuki? Co kieruje jego wyborem? Gdzie są granice sztuki i odpowiedzialność za jej wytwory? Te pytania zadaje dwoje szwajcarskich autorów – Igor Bauersima i Rejane Desvignes– w dramacie *Tattooz* 2002 roku, którego polską prapremierę pod tytułem Body Art w Teatrze im. Wilama Horzycy przygotowuje Ana Nowicka. Toruńska publiczność zna ją z brawurowej realizacji *Porucznika z Inishmore* Martina McDonagha oraz z reżyserii spektaklu *Szyc* Teatru Barakah, wyróżnionego w 2011roku na Festiwalu Debiutantów „Pierwszy Kontakt". Bohaterowie *Body Art* Lea i Fred są parą. Fred jest pisarzem, ale do tej pory nie odniósł jeszcze sukcesu, Lea zaś aktorką, która wciąż nie może znaleźć odpowiedniej dla siebie roli. Jej siostra, bizneswomen Naomi prowadzi galerię sztuki współczesnej. Z USA wraca jako uznany artysta ich przyjaciel Tiger i postanawia stworzyć „dzieło", które stanie się najgłośniejszym wydarzeniem zbliżających się targów sztuki. „Dzieło" to stopniowo odsłania prawdziwą twarz Naomi i psuje relację między Leą i Fredem, a ich życie zmienia w koszmar. W spektaklu zobaczymy Aleksandrę Bednarz, Matyldę Podfilipską, Pawła Kowalskiego, Tomasza Mycana i Arkadiusza Walesiaka.

Polska prapremiera *Body Art* już 9 marca na Scenie na Zapleczu, a w dwa tygodnie później Teatr im. Wilama Horzycy zaprasza na wręczenie dorocznych nagród „Wilamy" z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, podczas którego widzowie zobaczą *Koncert życzeń*.

(AS)

Igor Bauersima/ RejaneDesvignes, BodyArt
reż. Ana Nowicka
prapremiera polska, 9 marca 2013
Teatr im. Wilama Horzycy, Toruń

NRD
9.03



MEDIUM HIP-HOPU

Medium ma na imię Piotr, na nazwisko Kowalczyk i wiemy na pewno, że nie interesuje go polonez ani walczyk… Raper ze mnie marny, ale to nie ja 9 marca będę zagrzewał rymem publiczność NRD. Tego dnia na ulicy Browarnej w Toruniu wystąpi Medium, czyli rasowy raper, beatboxer, producent muzyczny, a ostatnimi czasy właściciel i założyciel wytwórni Bozon Records (od 13 lutego 2013 roku). Jego droga na oficjalną scenę hip-hopu była dość kręta i cicha. Zaczynał jako czternastolatek, bawiąc się gotowymi samplami – wówczas to pod pseudonimem BMC wydał swoje demo pod znamiennym tytułem *Pierwsze tchnienie*. Po trzyletnim głębszym oddechu wypuścił kolejny krążek, tylko po to, by nabrać wody w usta na pięć kolejnych lat. W 2008 roku ukazał się *Seans spirytystyczny* (album bardzo dobrze przyjęty wśród innych nielegali tego okresu), a dwa lata później przy wsparciu jednego z najbardziej charakterystycznych talentów sceny hip-hop – O.S.T.R. – kolejny jego niezależny krążek pt. Alternatywne źródło energii. Potem był kontrakt z wytwórnią Asfalt Records, kolejna płyta (Teoria równoległych wszechświatów) oraz wejście na oficjalną polską scenę hip-hopową. Obecnie Medium koncertuje z DJ Funktionem oraz swoim ostatnim materiałem – (świętym) Graalem. Enerdowski koncert Mediuma będą supportować lokalne gwiazdy: włocławski Projekt Ganges oraz toruniacy w osobach Bryndala, Grajka oraz Dj Who?lista. Szykuje się ostry seans!

(SY)

Medium
9 marca, godz. 21.00
NRD, Toruń

OPERA NOVA
9 | 10.03

BALET W OPERZE

Warto wybrać się 9 marca do bydgoskiej opery na premierę *Fascynacji* – spektaklu baletowego składającego się z pięciu autonomicznych elementów zwanych obrazami: trzy z nich, w części pierwszej spektaklu, powstały pod kierunkiem Mauro de Candii, a dwa w drugiej części stworzył Jorma Elo. Obaj twórcy – pierwszy Włoch, drugi Fin - są wielce poważanymi choreografami, a rzadko chyba w naszym regionie nadarza się okazja obejrzenia współczesnego baletu z importu na światowym poziomie…

Spektrum muzyczne towarzyszące choreografii bardzo szerokie – od Mozarta po Piaf, od Bacha po Arvo Pärta. Spektakl zostanie zagrany w marcu raz jeszcze – następnego dnia.

(MR)

Fascynacje
9, 10 marca, godz. 19.00
Opera Nova, Bydgoszcz

CARPE DIEM
10.03



WYLUZOWANE GITARY LEWYCH ŁOKCI

Muzycy tłumaczą się sami: „Nie czujemy się częścią krajowej sceny, dlatego nazwa nie zobowiązująca i nic nie znacząca. Lewe Łokcie założyliśmy w 2012 roku w Częstochowie. W swych piosenkach mieszamy ładne melodie z brudnymi wyluzowanymi gitarami nawiązując po części do amerykańskiej sceny lat 90". Jesienią ukazało się pierwsze wydawnictwo zespołu, singiel pt. *Pomieszane chwile/Plany*. Wcześniej znani byli jako Elephant Stone i dzięki organizowanym konkursom dla młodych zespołów mieli okazję występować na kilku znaczących festiwalach. Odwiedzili m.in. Off Festival (2008) , Jarocin (2010), Seven Festival w Węgorzewie (2010), Pepsi Vena Music Festival (2009), Gramy (2009), czy Maj Music Festival (2009). Zagrali ponad 50 koncertów w większych miastach w kraju i mają na koncie występy przed takimi zespołami jak: Tymon & The Transistors, Kobiety, Cool Kids of Death, Pustki, Waglewski FiszEmade, Abradab czy Budyń. „Menażeria", trzymająca kciuki za młode zespoły, chętnie wpadnie do Carpe Diem i sama oceni te „brudne, wyluzowane gitary"!

(MD)

Lewe Łokcie
10 marca 2013, 20.00
Carpe Diem, Plac Teatralny 7, Toruń

GALERIA WOZOWNIA
14.03

W WOZOWNI O FILMIE

14 marca w Galerii Sztuki Wozownia wykład o awangardzie filmowej za oceanem. Jak film bywa sztuką? Czy poetyckość może być cechą struktury filmowej? Jak film może się wplatać w dynamikę zmiany społeczno-kulturowej? Czy sztukę audiowizualną można pojmować jako badanie i projektowanie rzeczywistości? Wykład o (nie tylko artystycznych) eksperymentach amerykańskiej awangardy filmowej poprowadzi doktor Marta Kosińska, kulturoznawczyni, adiunkt w Zakładzie Badań nad Kulturą Filmową i Audiowizualną w Instytucie Kulturoznawstwa w Poznaniu. Jest także tłumaczką i krytyczką sztuki. Jej obszar zainteresowań obejmuje zagadnienia związane z historią kultury audiowizualnej, performatywnym wymiarem mediów, teorią komunikacji, sztuką mediów.

(AS)

Ewa Kosińska, Film jako sztuka – awangarda jako kultura. Amerykański film artystyczny
14 marca 2013, godz. 18.00
Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

LIZARD KING
14.03



LINOSKOCZEK W LIZARDZIE

Skubas, znany do tej pory ze współpracy ze Smolikiem i Noviką, przedstawia swój autorski album *Wilczełyko*. Melancholijny wokal, akustyczne brzmienie gitar o folkowym i grunge'owym zabarwieniu, tworzą nostalgiczne i melodyjne piosenki, których niełatwe teksty skłaniają do zasłuchania i przemyśleń.

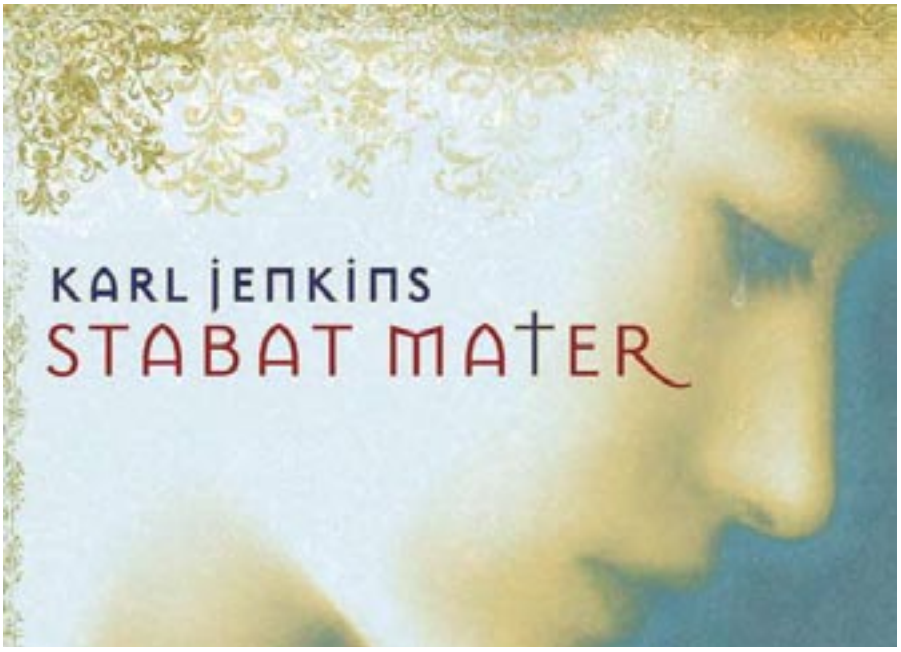
Płytę promuje utwór *Linoskoczek*, który zdobył nominację do Fryderyków w kategorii „Utwór roku" (Skubas jest nominowany również za debiut).

Na koncertach Skubas porywa publiczność, skacząc i miotając się z gitarą po scenie. Chętnie prezentuje utwory spoza płyty, dając przedsmak kolejnych krążków, na które już czekamy z niecierpliwością.

(AL)

Skubas
14 marca 2013, godz. 20.00
Lizard King, Toruń

DWÓR ARTUSA
15.03



OD ADIEMUS
DO STABAT MATER

Koncert z udziałem znanych i cenionych artystów pochodzenia litewskiego, chóru Astrolabium oraz maestro Daniusa Pavilionisa, będzie niewątpliwie wydarzeniem miesiąca, wśród propozycji Toruńskiej Orkiestry Symfonicznej. Zaproszeni soliści wraz z chórem i orkiestrą wykonają wyjątkowo oryginalną kompozycję Karla Jenkinsa *Stabat Mater*. Utwór Jenkinsa opiera się na XIII-wiecznej modlitwie o tym samym tytule. Kompozycja zawiera zarówno elementy tradycyjne muzyki zachodniej, wplecione w fakturę instrumentalną jak i bliskowschodnie motywy etniczne, słyszalne w partiach chóru i solo.

Stabat Mater Jenkinsa – jest adaptacją motywu *Stabat Mater (dolorosa)*, odzwierciedlając cierpienie Maryi, matki Boga, w chwili ukrzyżowania. Jenkins w swym dziele wykorzystuje, oryginalne teksty z średniowiecznego poematu oraz tworzy własne motywy, śpiewane w językach: angielskim, łacińskim, greckim, aramejskim i hebrajskim. Artysta sięga po egzotyczne, ormiańskie instrumenty tj.: duduk, darabuca, DEF doholla i rig, potęgując tym samym wschodnią atmosferę utworu i stwarzając odczucie głębokiego i bogatego w rezonanse brzmienia. W *Stabat Mater* solo wystąpią:Jovita Vaškevičiūtė (mezzosopran), Indrė Jurgelevičiūtė(ethnicvocal) oraz Saulius Petreikis(duduc).

Kompozytor Karl Jenkins dorastał w południowej Walii. Ukończył studia muzyczne na Uniwersytecie w Cardiff, po czym rozpoczął studia podyplomowe w londyńskiej Królewskiej Akademii Muzycznej. Swoją karierę muzyczną Jenkins zaczynał jako oboista w National Youth Orchestra of Wales. Następnie dał się poznać jako muzyk jazzowy -grał na saksofoniei klawiszach. Walijczyk tworzył muzykę m.in. do spotów reklamowych i właśnie ta pozornie komercyjna gałąź muzyki przyniosła mu olbrzymi rozgłos. Przełomem w karierze kompozytorskiej Jenkinsa było skomponowanie w 1994 roku do reklamy linii lotniczych, utworu *Adiemus*, opartego na etnicznym brzmieniu z chórem wyśpiewującym słowa w nieistniejącym języku, który do dziś pozostaje najpopularniejszym dziełem artysty.

(AS)

Karl Jenkins, StabatMater
Toruńska Orkiestra Symfoniczna
15 marca 2013, godz. 19.00
Sala Wielka Dworu Artusa, Toruń

DWÓR ARTUSA 17.03

ZIELONE PIWO, TANIEC I ŚPIEW

Tradycyjnie już Dwór Artusa zaprasza wielbicieli folkloru irlandzkiego na imprezę z okazji Dnia Świętego Patryka. W tym roku uświetni ją znakomity zespół Beltaine łączący tradycyjną muzykę celtycką ze współczesną. Browar Jan Olbracht zadbał o niezbędne w takim dniu zielone piwo, którego kufel otrzyma gratis każdy z gości. Będą też tańce – dzięki współpracy ze Stowarzyszeniem Kultury Celtyckiej „Celtycki Gotyk" zatańczą trzy toruńskie zespoły specjalizujące się w tańcu irlandzkim: Beltaine, Avalon i Galahad. Zapowiada się świetna zabawa!

(AL)

Dzień Świętego Patryka – koncert Beltaine
17 marca 2013, godz. 19.00
Dwór Artusa, Toruń

CARPE DIEM 17.03



FOLKOWO NA DZIEŃ ŚW. PATRYKA, BELTAINE

Toruńskiej publiczności Beltaine przedstawiać nie trzeba. Nie raz wsłuchiwaliśmy się w ich dźwięki, w dźwięki akordeonu, skrzypiec, gitar, dud, perkusji i całej gamy instrumentów, które ledwo potrafimy rozpoznać. To jeden z najciekawszych zespołów polskiej sceny folkowej. Swoje niepowtarzalne brzmienie Beltaine osiągnął, dzięki szczególnej umiejętności łączenia tradycyjnej muzyki celtyckiej z muzyka współczesna. Ich twórczość wyróżnia niezwykła żywiołowość, pasja, rozmaitość brzmień oraz charakterystyczna już odwaga w aranżacjach. Tym razem klimat Irlandii, Bretanii i Galicji zagości na jeden wieczór w Klubie Carpe Diem i z pewnością tego nie przegapimy.

(MD)

Belteine
17 marca 2013, 20.00
Carpe Diem, Plac Teatralny 7, Toruń

LIZARD KING 21.03



RAZ DWA TRZY INACZEJ

Zespołu Raz Dwa Trzy nikomu przedstawiać nie trzeba. Podczas ponad dwudziestoletniej obecności na polskiej scenie muzycznej zawojowali serca słuchaczy swą niebanalną prostotą i szczerością. Tym razem muzycy zaprosili do wspólnego grania młody zespół Spitfire, wraz z którym przedstawią przearanżowane wersje własnych utworów.

Spitfire to efekt współpracy Pierre'a i Tadeusza Abrahama Kulasa, integrujący ich artystyczne fascynacje. Razem bawią się konwencjami i stylistykami, nadając im nowy wymiar.

Podczas Męskiego Grania publiczność miała okazję usłyszeć całkiem nowe brzmienie czterech utworów Raz Dwa Trzy, zaś podczas marcowej trasy koncertowej zostanie zaprezentowany cały intrygujący materiał, przygotowany we współpracy tych dwóch grup.

(AL)

Raz Dwa Trzy i SPITFIRE
21 marca 2013, godz. 18.30
Lizard King, Toruń

DWÓR ARTUSA
22.03

URODZINY KACZMARSKIEGO

Tradycją Dworu Artusa stały się koncerty poświęcone pamięci Jacka Kaczmarskiego, organizowane z okazji jego urodzin. W tym roku wystąpi Trio Łódzko-Chojnowskie, formacja ciesząca się opinią jednej z najlepszych grup wykonujących utwory tria Kaczmarski-Gintrowski-Łapiński. Formacja reinterpretuje twórczość bardów, utrzymując się jednak we właściwej dla nich konwencji.

Zespół zaprezentuje szereg utworów Kaczmarskiego i Gintrowskiego, zaś jako ciekawostkę - interpretację wierszy Kaczmarskiego do skomponowanej przez siebie muzyki.

Trio Łódzko-Chojnowskie to: Paweł Konopacki (gitara, śpiew), Witold Łuczyński (gitara, śpiew) oraz Tomasz Susmęd (fortepian).

(AL)

Koncert Pamięci Jacka Kaczmarskiego
Trio Łódzko-Chojnowskie
22 marca 2013, godz. 19.00
Dwór Artusa, Toruń

FILHARMONIA POMORSKA
22 | 24.03

DWIE CIEKAWOSTKI W FILHARMONII

Wybór bardzo subiektywny, z całkiem bogatego repertuaru marcowego bydgoskiej filharmonii. Obie godne polecenia ciekawostki - u progu Wielkiego Tygodnia.

Pierwszą z nich jest koncert Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Pomorskiej pod batutą Wojciecha Rajskiego w piątek 22 marca; gwiazdą koncertu będzie niemiecki waltornista Paolo Mendes – laureat wielu konkursów i I waltornia berlińskiej Deutsches Symphonie-Orchester, a usłyszymy *IV Koncert na róg i orkiestrę Es-dur KV 485 Mozarta* i *II Symfonię c-moll* Aleksandra Skriabina.

Drugą ciekawostką będzie koncert Na Niedzielę Palmową- w Niedzielę Palmową zagrany i odśpiewany. Połączone siły Orkiestry Kameralnej Capella Bydgostiensis i Chóru Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego wykonają *Stabat Mater* Josefa Gabriela Rheinbergera i *Siedem ostatnich słów Chrystusa na krzyżu* Haydna. Warto w tym czasie szukać ucieczki od świątecznego zgiełku w równie świątecznej zadumie.

(MR)

Koncert symfoniczny
22 marca, godz. 19.00
Na Niedzielę Palmową
24 marca, godz. 19.00
Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz

EGOIST
23.03

fot.Zuza Krajewska, Bartek Wieczorek



JEZUS MARIA PESZEK

„Menażeria" objęła patronatem bydgoski koncert charyzmatycznej Marii Peszek, która wraz ze swoim mistrzowskim zespołem kontynuuje trasę koncertową z nowym materiałem z albumu *Jezus Maria Peszek*. To płyta niepokorna i takie też są koncerty - żywiołowe i bezkompromisowe. Jesienna trasa promocyjna spotkała się z entuzjastycznym odbiorem. Kilkanaście koncertów zobaczyło ponad 10 tysięcy fanów, a najnowszy album Peszek od swej premiery w październiku ubiegłego roku w tempie ekspresowym uzyskał status platynowy. „Wiedzieliśmy, że nowy materiał ma w sobie fantastyczny potencjał, ale okazało się, że *Jezus* to koncertowa petarda! To niesamowite uczucie, gdy stoisz na scenie i widzisz takie żywiołowe reakcje, kiedy ludzie śpiewają głośniej niż ty. Taki emocjonalny odbiór publiczności pokazuje, że to co robię ma sens. Jeśli otrzymuję tak olbrzymi odzew z tamtej strony, to wiem, że warto było się narażać, znosić ataki i iść własną drogą" – mówi artystka.

Żeby w pełni doświadczyć emocji, jakie wyzwala płyta, która w Polsce wywołała burzę i o której sama Maria opowiada, że jest dla niej najważniejsza, trzeba być na koncercie. Bo Marię Peszek można kochać albo nienawidzić, ale nie można pozostać obojętnym. To po prostu trzeba zobaczyć!

(AS)

Maria Peszek, Jezus Maria Peszek
23 marca, godz. 20.00
Klub Egoist, Bydgoszcz

menażeria
patronat medialny

CARPE DIEM
25.03



TORUŃ SIĘ ŚMIEJE,

CZYLI WYSTĘP TGI TERAZ

Występ bohaterów jednego z naszych artykułów to dobre rozpoczęcie tygodnia. Toruńska grupa improwizacyjna TERAZ to siedem pozytywnie zakręconych osób, czekających na równie pozytywną publiczność. Absurd, humor, gry słowne i spontaniczność dopisują się do naszej marcowej listy „tu bywaj".

(MD)

TGI TERAZ
Carpe Diem, Plac Teatralny 7, Toruń
25 marca 2013, godz. 20:00

TEATR BAJ POMORSKI
28.03



MARIONETKA –

KOSMICZNA TAJEMNICA

W Teatrze Baj Pomorski trwają próby do premiery spektaklu *Marionetka – kosmiczna tajemnica*, który przygotowuje dwoje aktorów Dominika Miękus i Krzysztof Parda. „Sami jesteśmy reżyserami, scenografami, muzykami i animatorami naszego spektaklu, a laboratoryjny i eksperymentalny charakter pracy powoduje, że podczas prób wiele się może jeszcze wydarzyć" – mówi Krzysztof Parda.

Na scenie zobaczymy dwóch samotników, marzycieli, przy tym szalonych pasjonatów kosmosu, którzy wymyślają sobie własny świat – planetę. Jeden nazywa ją „8" a drugi „3" i

próbują wmówić istnienie tej planety widzowi. Zaczynają ją tworzyć za sprawą wiary w to marzenie i wspólnie już odkrywać oraz ożywiać „nowe". „Widz jest świadkiem powstawania kosmosu - azylu, świadkiem zabawy w ożywianie, świadkiem wyruszenia w nieznane. Też w wewnętrznykosmos, bo słowo „kosmos" bardzo nam pasuje i lubimy je ogromnie" – opowiada Parda. Marzenia są po to, by je realizować. Każdy człowiek lokuje je na jakiejś wymyślonej przez siebie planecie, i to „JAK?"na nią dotrze - zależy tylko od niego. Każdy musi sam zbudować „rakietę" i wyruszyć do celu. Wiadomo jedno: droga będzie długa, ciężka i być może ryzykowna, ale za to jak fascynująca." Wszystko to, co aktorzy tworzą na scenie, osnute jest tajemnicą jak oni sami...itytułowa marionetka o imieniu Franek (zawieszona na około dwudziestu niciach, przywiązanych do skomplikowanego mechanizmu zwanego „krzyżakiem"). Grać będą bez słów, by każdy mógł odebrać sobie po swojemu tę kosmiczną tajemnicę. „Łączymy elektronikę z magią i poetyką, skupiamy się na obrazach, dźwiękach i na cudzie animacji. Chcemy zaserwować widzowi subtelności, z którymi być może się nie spotkał jeszcze w teatrze. Porwało nas zupełnie, a co wyjdzie z laboratoryjnych doświadczeń? To na razie tajemnica!"

(AS)

Dominika Miękus, Krzysztof Parda,
Marionetka – kosmiczna tajemnica
premiera 28 marca 2013
Teatr Baj Pomorski, Toruń

MUZEUM OKRĘGOWE
RATUSZ STAROMIEJSKI
23.02 - 21.04

FOT. M. CZARNECKI



PENETRACJA ŚWIATA

Choć tę wystawę fotografii w Ratuszu Staromiejskim można oglądać już od tygodnia, to jej siła rażenia zmysłów jest tak silna, że koniecznie chcemy ją Państwu polecić! *„Nasz bezpieczny świat* jest autorskim projektem artysty fotografika Marka Czarneckiego. To wypowiedź językiem sztuki, wykorzystująca słowo i obraz do dialogu prowadzonego ze społeczeństwem. Artysta na swój plan zdjęciowy zaprosił ponad stu statystów w przedziale wiekowym od kilku do kilkudziesięciu lat. Podczas planu zdjęciowego powstał reportaż, zrealizowano film oraz utworzono stronę internetową www.naszbezpiecznyswiat.com. Wystawa fotografii artysty ma skłonić widza do przemyśleń nad bezrefleksyjnym przyjmowaniem narzuconych odgórnie ograniczeń, rygorystycznej kontroli - stosowanej w imię „dobra jednostki", bezpieczeństwa, „dobra wspólnego". Ma dać impuls do stawiania pytań o granice naszych praw, swobód i wolności osobistej, aby zabezpieczyć nam wolność życia w naszym systemie kulturowym i społecznym, by się dowiedzieć, na ile świadomie popadamy w niewolę mającą na celu zachowanie naszej wolności" – pisze kuratorka wystawy Jadwiga Czarnecka.Zdjęcia do projektu zostały wykonywane w plenerach miejskich, wiejskich, industrialnych, w środkach komunikacji publicznej, miejscach odbywania się imprez kulturalnych i sportowych, jak również w plenerach naturalnych typu pola, lasy, łąki, uprawy itp. Nierozerwalną częścią wystawy jest także manifest artystyczny twórcy projektu. Polecamy!

(AS)

Marek Czarnecki, Nasz bezpieczny świat
Kurator i aranżacja plastyczna: Jadwiga Czarnecka
23 lutego – 21 kwietnia 2013
Muzeum Okręgowe, Ratusz Staromiejski, Toruń

AKADEMICKA PRZESTRZEŃ KULTURALNA WSG
8 - 23.03

MARZEC Z APK

Ciekawie zapowiada się marzec w Akademickiej Przestrzeniu Kulturalnej WSG. Już 8 marca o godzinie 12.00 w sali widowiskowej Studenckie Koło Literackie WSG zaprasza na spotkanie literacko-muzyczne: *Kobiety o miłości.* Usłyszymy fragmenty dzieł literatury światowej, miedzy innymi: *Romeo i Julia, Anna Karenina, Nędznicy*.

20 marca pozostaniemy w temacie muzycznym. O godzinie 18.00, ponownie w sali widowiskowej, odbędzie się spotkanie z kompozytorem Michałem Dobrzyńskim. Pretekstem do rozmowy jest monograficzna płyta, która ukazała się nakładem prestiżowego wydawnictwa DUX. Dobrzyński jest absolwentem Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, a obecnie doktorantem na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie. Wielokrotnie był stypendystą Ministra Kultury oraz laureatem międzynarodowych i ogólnopolskich konkursów kompozytorskich.

22 marca APK powinny odwiedzić osoby żywo zainteresowane szeroko pojętym tematem kultury, mediów oraz ich wzajemnego przenikania. O godzinie 17.00 w sali widowiskowej odbędzie się bowiem debata *Kultura w mediach, media w kulturze* zorganizowana przez Centrum Kultury Medialnej przy Instytucie Kulturoznawstwa WSG. W spotkaniu wezmą udział zarówno przedstawiciele środowisk kulturalnych Bydgoszczy i Torunia, jak i dziennikarze i publicyści z Bydgoszczy, Warszawy oraz Wrocławia.

Dzień później o godzinie 10.30 wystartuje 4. Bydgoska Sobota z Komiksem, a ja zapraszam także do Muzeum Fotografii mieszczącym się przy APK. Od 16 marca startują warsztaty fotografii cyfrowej i analogowej, poza tym do 14 marca warto wybrać się na wystawę Danuty Antas-Woźniewskiej *W Stronę Światła – Pejzaże Mistyczne*.

(LENA)

CAFE DRAŻE
8 - 24.03

DRAŻE W MENAŻE...

Czekamy na wiosnę, która nieśmiało zaczęła do nas zaglądać. A z nami czekają też Cafe Draże. Być może już niedługo dane nam będzie rozłożyć się na drażowych leżakach i wystawić do słońca, jednak póki co, ciągle możemy wyskoczyć na ciepłą herbatę do Draży i natknąć się na ciekawe wydarzenie. Nowy miesiąc w Drażach zaczyna się kontrowersyjnie: 8 marca, startuje ósme już spotkanie z cyklu Drażliwe tematy. Tym razem porozmawiamy o związkach partnerskich, więc temat jak najbardziej na czasie. Czym są związki partnerskie? Czy są potrzebne w Polsce? W jakich krajach je wprowadzono? Czy są niezgodne z polską Konstytucją? To tylko niektóre z pytań, na które wspólnie postaramy się znaleźć odpowiedź. Po zażartych debatach, dyskusjach i kontrowersjach, dziewczyny zapraszają na całonocny after w rytmie queer/kitch/elektro/disko na piętrze kawiarni oraz minimal techno/house/ na parterze.

Jeżeli nie zdążycie na Drażliwe tematy, kolejną ciekawą propozycją Draży jest koncert grupy Plum, która odwiedzi ród kopernikański 12 marca. Grupę Plum w 1999 roku, w Stargardzie Szczecińskim założyli bracia Rafał i Marcin Piekoszewscy. Na swoim koncie mają pięć płyt, najnowszy album pt. *Emergence* miał swoją premierę w czerwcu 2012 roku. Do dziś zagrali dziesiątki koncertów w Polsce (m.in. Off Club, Off Festival, Fląder Festiwal), Czechach, Niemczech oraz na festiwalu Sound City Fest w Liverpoolu. Koszt biletu to dziesięć złotych, a wrażenia mogą by niezapomniane. Przekonajmy się sami o tym, czy rock alternatywny w ich wykonaniu nas przekonuje.

Do wiosny potrzeba solidnego przygotowania. Można dodać trochę muzyki, pozytywnego uśmiechu i szczyptę chęci i wyjdą nam z tego, wypisz-wymaluj drażowe Warsztaty gry samby. Lubisz bębny, przeszkadzajki i dzwonki? Masz ochotę nauczyć się grać na jakimś instrumencie perkusyjnym, ale zawsze wszyscy powtarzali, że słoń nadepnął Ci na ucho? Przyjdź do Draży 17 marca, muzycy pokażą Ci, jakie są najprostsze techniki wydobywania dźwięków z różnych instrumentów perkusyjnych, jak tworzy się melodia z rytmu oraz udowodnią, że samba to nie tylko taniec. Instrumenty będą czekały na miejscu, więc wystarczą tylko chęci. Zajęcia są całkowicie darmowe tak, by każdy, kto tylko ma trochę wolnego czasu w niedzielne popołudnie, mógł spróbować swoich sił i rozkołysać się w sambowych rytmach.

A skoro o rytmach mowa, to i dla najmłodszych nie może zabraknąć miejsca w marcowych planach. 20 marca wszystkie dzieciaki i doroślaki będą miały niepowtarzalną szansę na rozhuśtanie drażowego ogródka na KOKO DISKO. Z okazji wiosny, klaun Koko przygotował wiele atrakcji, m.in: pokaz wielkich baniek mydlanych, gry, zabawy, konkursy, pyszne wegańskie i zdrowe słodkości dla małych gości, a dla doroślaków kawa fair trade, yerba mate, piwko z małych lokalnych browarów i wymienialnia (zabierzcie niepotrzebne ubrania, zabawki, płyty i co tam jeszcze zmieścicie!). Jeżeli nie dość Wam będzie tych kulinarnych atrakcji, to 24 marca ruszy kolejna edycja akcji Parcie na żarcie. Od godziny 14.00, aż do wyczerpania zapasów nastąpi masowy atak na vegan żarcie w dobrym celu. Płacisz 10 zł za talerz i jesz do woli, a dochód z imprezy przekazywany jest na działalność społeczną. Dodatkowo, tym razem odwiedzając Draże zabierzcie ze sobą słoje i łychy! WEK PARTY, czyli cykliczna impreza powstała w celu odświeżenia piwnicznych półek i promocji DIY akcji z przetworami, pozwoli Wam pozbyć się zalegających na półkach przetworów i powymieniać się kulinarnymi rarytasami. Przy okazji, będąc w Drażach, nie zapomnijcie odwiedzić wystawy *Legendografia*, autorstwa Agaty Wilkowskiej. Niech wiosna będzie z Wami!

(MD)

Drażliwe tematy: związki partnerskie
8 marca 2013, godz. 19.00

Plum – koncert
12 marca 2013

Warsztaty gry samby
17 marca, godz. 12.00

KOKO DISKO
20 marca 2013, godz. 16.00

Parcie na żarcie + WEK PARTY
24 marca 2013, godz. 14.00

Cafe Draże, Toruń

GALERIA WOZOWNIA
8.03 - 7.04

fot. Izabela Łapińska



W WOZOWNI: KOBIETY GÓRĄ!

8 marca Galeria Sztuki Wozownia zaprasza na otwarcie trzech kobiecych wystaw: Izabeli Łapińskiej, Iwony Szpak i Karoliny Żyniewicz.

Izabela Łapińska zajmuje się fotografią reklamową, pracą edukacyjną, pisarską i animatorską. Jej wystawa zatytułowana *Filmowy defekt samotności* wynikła z fascynacji filmem i jest interesującym efektem łączenia dwóch pokrewnych gatunków sztuki, jakim są fotografia i film. Artystka posłużyła się techniką foundfootage polegającą na kompilacji oryginalnych fragmentów dzieł innych autorów i ich transformacji. Owe fragmenty traktowane są jak surowiec, półprodukty, z których autor tworzy własne oryginalne dzieło, będące nośnikiem nowych treści i jakości wizualnych. Izabela Łapińska jest doktorem w dziedzinie fotografii i wykładowcą na Wydziale Organizacji Sztuki Filmowej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

Iwona Szpak na wystawie w dwóch salkach Wozowni zaprezentuje dwa cykle prac. Pierwszy, *Obiekty lewitujące*, będzie składał się z dziesiątek multiplikowanych elementów, eksponowanych w świetle UV. Będą to zawieszone na przeźroczystych żyłkach, na różnych wysokościach obiekty w czarno białe pasy, zróżnicowane pod względem średnic i wysokości. Drugi projekt, *Punkt Widzenia*, będzie zespolonym centrycznym obiektem, składającym się z dużej ilości małych rurek, przez które przechodzi światło i odbija się w ich ściankach. Iwona Szpak-Pawłowska, doktor malarstwa na UMK w Toruniu. Ukończyła studia ze specjalizacją malarstwo w architekturze na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu.

Zajmuje się malarstwem sztalugowym, ściennym i na jedwabiu, także mozaiką oraz obiektami przestrzennymi. Cykle, które tworzy, inspirowane są symboliką, dawnymi kulturami oraz sferą sacrum.

Trzecia z artystek – Karolina Żyniewicz w ramach cyklu *Laboratorium Sztuki 2013. Nie(po)rozumienie* zaprezentuje projekt *Kwarantanna*, który obejmie wyizolowaną w niewielkiej przestrzeni „sterylną" instalację oraz konstrukcje, które wyzwalają chemiczne procesy z udziałem wody, metali i soli. Procesy te nie rządzą się naukową, ale artystyczną logiką. W warunkach izolacji, przebiegają one samorzutnie, nie prowadząc do rozstrzygnięć na gruncie chemii czy biologii, ale na gruncie sztuki. W polu badania pojawia się estetyka organicznej materii jak również estetyka laboratorium, przypominającego w pewnych aspektach *whitecube*. Karolina Żyniewicz jest absolwentką Wydziału Edukacji Wizualnej ASP w Łodzi. Kreuje obiekty-kurioza. Swoje działania określa mianem „artdycyny", gdyż inspirację dla nich, w znacznym stopniu, stanowi medycyna.

O trzech kobietach pisał Robert Musil, filmy kręcili Altman i Różewicz – my polecamy (nie tylko) paniom sztukę trzech kobiet w Wozowni!

(AS)

Izabela Łapińska, Filmowy defekt samotności
kuratorka: Małgorzata Jankowska
Iwona Szpak-Pawłowska, Obiekty lewitujące / Punkt widzenia
Karolina Żyniewicz, Kwarantanna
Laboratorium Sztuki 2013. Nie(po)rozumienie.
kuratorka: Maria Niemyjska
8 marca – 7 kwietnia 2013
Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

CSW W TORUNIU
15.03 - 26.05

fot. Michel Zoeter



CUDA NAD WISŁĄ

Od 15 marca będziemy mogli podziwiać jedyną w swoim rodzaju wystawę próbującą w dynamiczny sposób modę połączyć z innymi dziedzinami sztuki i chcącą odpowiadać na pytanie, gdzie szukać granic pomiędzy różnymi stworzonymi przez człowieka żywiołami - takimi jak wspomniana moda, architektura, dizajn czy sztuka przez duże S. Zobaczymy przykłady twórczości projektantów-artystów poruszających się nieustannie na pograniczu tych żywiołów. Zobaczymy przykłady twórczości Husseina Chalayana, Iris van Herpen (na załączonym zdjęciu fragment pokazu jej kolekcji) i wielu, wielu innych. Dwa miesiące po otwarciu, wystawa zostanie wchłonięta przez żywioł Europejskiej Nocy Muzeów.

(MR)

Cuda niewidy
15 marca – 26 maja 2013
CSW w Toruniu, Toruń

TEATR BAJ POMORSKI
18.03 - 28.03



TEATR BAJ POMORSKI

Dotknij Teatru to ogólnopolski projekt przygotowany z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, jego celem jest stworzenie możliwości twórczego spotkania artystów teatru i widzów. To najszersza, interdyscyplinarna forma obchodów Dnia Teatru w kraju. W dniach 18 – 28 marca widzowie 39 miejscowości w 16 województwach będą mogli wziąć udział w specjalnie z tej okazji przygotowanych wydarzeniach: spektaklach, próbach otwartych, warsztatach edukacyjnych, zwiedzaniu teatrów, spotkaniach z twórcami, wystawach, koncertach czy happeningach. Dzięki temu widzowie poznają teatr od kuchni, a artyści podzielą się swoimi osiągnięciami i doświadczeniami.

W dniach 18-28 marca 2013 Teatr „Baj Pomorski" we współpracy z Zakładem Dramatu i Teatru Katedry Kulturoznawstwa UMK, Studenckim Kołem Teatrologicznym UMK, Muzeum Etnograficznym w Toruniu, Fundacją Traditio Europae, Stowarzyszeniem Inicjatyw Kulturalnych tARTak, programem Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności „Projektor-wolontariat studencki" oraz artystami: Rafałem Kołackim, Ireneuszem Maciejewskim i dziennikarką Kariną Bonowicz organizuje cykl nieodpłatnych warsztatów, wykładów, prezentacji i dyskusji poświęconych sztuce teatru. W programie przewidziano również zwiedzanie Baja Pomorskiego oraz promocje przy zakupie biletów na wybrane przedstawienia.

Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu proponuje m.in. warsztaty, sesję fotograficzną, zwiedzanie teatru, czytanie bajki i dramatu oraz promocje przy zakupie biletów na wybrane przedstawienia. Scena dramatyczna do swoich działań edukacyjnych zaprosiła: fotografa Wojtka Szabelskiego, reżyserkę Ulę Kijak, nauczycielkę Katarzynę Korpal oraz klasę teatralną z IX Liceum Ogólnokształcącego w Toruniu z opiekunką Katarzyną Jaskólską.

Podczas konferencji, poza przedstawicielami Teatru Baj Pomorski, obecni będą: Marta Lewandowska (Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu), dr Marzenna Wiśniewska (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), Elżbieta Chrulska i Agnieszka Komorowska (Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych tARTak), Paulina Pamuła („Projektor-wolontariat studencki") oraz Karina Bonowicz.

Więcej o Dotknij teatru na stronie: www.dotknijteatru.pl.

GALERIA WOZOWNIA
22.03 - 14.04

DZIEŁO ROKU 2012

Po raz kolejny Galeria Wozownia będzie miejscem cyklicznej imprezy *Salon Wiosenny* DZIEŁO ROKU 2012, organizowanej przez Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Toruniu. Wystawa obejmuje prace toruńskich artystów zrzeszonych w tej organizacji. Okręg Toruński ZPAP powstał w 1945 roku. Obecnie liczy przeszło 300 członków, przede wszystkim absolwentów Wydziału Sztuk Pięknych UMK, ale także artystów wywodzących się z Akademii Sztuk Pięknych z Krakowa, Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Poznania i Łodzi. Coroczne pokazy prezentują aktualną twórczość artystów plastyków środowiska toruńskiego i pozwalają na bieżąco śledzić ich działalność artystyczną we wszystkich dyscyplinach plastycznych. Spośród zgłoszonych prac jury wyłania najciekawsze, które następnie tworzą wystawę prezentującą spektrum aktualnych tendencji w lokalnym środowisku artystycznym. I tym razem widzowie będą mieli okazję zapoznać się z najświeższymi pracami lokalnych twórców. W trakcie trwania wystawy będzie można poznać wyniki konkursu.

(AS)

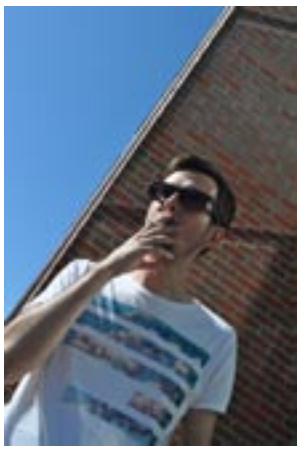
Salon Wiosenny DZIEŁO ROKU 2012
22 marca – 14 kwietnia 2013
Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

MARZEC TEAM



MAŁGORZATA DRĄŻEK

Studentka kulturoznawstwa, bawiąca się ostatnio w improwizację. Cierpi na ciągły brak czasu i snu. Czasami coś napisze, czasami coś sfotografuje, czasami coś obejrzy. Od lat romansuje po cichu z Julio Cortazarem i Edgarem Allanem Poe. Kolekcjonuje zdjęcia krajów, w których jest zimno i słowa, które sama wymyśla. Niereformowalna pod względem zaczynania zdań z małej litery.



SZYMON GUMIENIK

redaguje od 8.00 do 16.00, po godzinach czyta, słucha i ogląda, czasem coś napisze.



KAROLINA NATALIA BEDNAREK

z wykształcenia filmoznawczyni, z zawodu specjalistka ds. kreowania wizerunku firmy, z pasji kobieta. Wieloletnia recenzentka dla portalu „Kulturalny Toruń". Od czterech lat dyrektor filmowego festiwalu „Przejrzeć..."



GOSIA HERBA

(rocznik`85)
historyk sztuki, rysownik
mieszka i tworzy we Wrocławiu
miłośniczka formatu GIF
www.gosiaherba.pl



HANNA GREWLING

urodziła się w 1979 roku et ceatera...



KONRAD BURZYŃSKI

meloman i miłośnik kina, wrocławianin, rocznik 1980.



BEATA JURKIEWICZ

Uprzejma nonkonformistka, romantyczna idealistka. Od dawna podejrzewa, że nie jest z tego świata. Pozostając w ukryciu zajmuje się wyszukiwaniem i analizą błędów rzeczywistości. Lubi poruszać się po mapie nie tylko palcem. Zwolenniczka różnorodności, obserwatorka struktur. Thelemitka-dyletantka. Dilerka Trzech Cnót Boskich. Często przeciwna i oburzona. Poza tym do rany przyłóż. „Walk along on your own, don't believe the guidebooks. Be an idiot, be yourself."
Absolwentka historii sztuki UMK. Ubolewa, że ostatnimi czasy może bywać w Toruniu tylko duchem. Tęskni za kolorowymi ołtarzami z katedry św. Janów i niszczącym obcasy brukiem Starówki.

EWELINA KASZKOWIAK

ur. w 1993 r., studentka Filologii polskiej na UMK w Toruniu. Mieszka w Toruniu.



ANNA LADORUCKA

Pamięta jak przez mgłę, że kiedyś skończyła biologię, po czym utknęła na dobre za biurkiem, gdzie swe rozliczne talenty składa na ołtarzu komercji. Równie wysoko ceni sobie samotność, jak i towarzystwo przyjaciół. Do szczęścia potrzebna jej kawa, książka i święty spokój.



ANDRZEJ MIKOŁAJEWSKI

ur. 1985, bardziej polityk niż filozof, programowo związany z sektorem obywatelskim. Interesuje się finansowym podglebiem organizacji, literaturą w różnych jej kontekstach, także grami i kurczakiem.



ANDRZEJ KILANOWSKI

rocznik ,81. Grafik, ilustrator, absolwent filozofii UMK. Twórca internetowego komiksu o smutnym nosorożcu - www.alenosorozec.pl. Sporadycznie scenarzysta.



ANDRZEJ PIOTR LESIAKOWSKI



JACEK SEWERYN PODGÓRSKI

Podobno urodził się gdzieś w ciemnym borze. Ciągle się edukuje i pisze. Zapalony kolekcjoner komiksów Corbena i Moebiusa. Koneser włoskiego Giallo. Lubi spieszyć się i spóźniać.



MACIEJ KRZYŻYŃSKI

Rocznik 1987, przyrodnik lubiący litery, kolory i kształty.
http://mcross.carbonmade.com/



WIKTOR ŁOBAŻEWICZ

Z wykształcenia filozof-kognitywista, z zamiłowania... zamiłowań... zbyt długo by o tym pisać.



MAREK ROZPŁOCH

rocznik 1980, dziennikarz, filozof. Obywatel Unii Europejskiej.



PAWEŁ SCHREIBER

wykłada w Katedrze Filologii Angielskiej UKW w Bydgoszczy, recenzuje przedstawienia teatralne w „Didaskaliach", „Teatrze" i „Chimerze", a kiedy tylko chce od tego wszystkiego odpocząć - gra na komputerze, co potem skrzętnie opisuje na blogu jawnesny.pl.



SZYMON SZWARC

ur. 1986 r., poeta, muzykant, polonista, stypendysta. Teksty publikował m.in. w „Ricie Baum", „Kresach", „Portrecie", „Tyglu Kultury", „Blizie", „Helikopterze", „Instynkcie" i w „Dwutygodniku". Wydał tom wierszy Kot w tympanonie (Biblioteka „Rity Baum", Wrocław 2012 r.). Gitarzysta Jesieni, z którą nagrał płytę Jeleń. Mieszka w Toruniu i za granicą.



KAROLINA WIŚNIEWSKA

Etatowa anglistka i dorywczy twórca czegokolwiek, zdany na łaskę ciągłych przypływów i odpływów weny. Zakochana w przedmiotach czerpie treść z ich formy, docenia mistrzów designu tak samo jak pospolite zrób-to-sam, które z uporem praktykuje na własnej przestrzeni. Całoroczna rowerzystka, podatna na huśtawki nastrojów, zawsze głodna nowej muzyki i Martini Bianco. Chorobliwie uzależniona od jazdy na rolkach, głaskania swoich kotów, letniego bujania w hamaku i słońca. Szczęśliwa, gdy nic nie musi.



IWONA STACHOWSKA

z wykształcenia filozof, z zawodu nauczyciel akademicki. Na co dzień wierna towarzyszka psa znanego ze skocznego podejścia do przestrzeni otwartych i zamkniętych. Wielbicielka dżdżystej aury, gorzkiej czekolady, kawy po turecku i czarnej porcelany.



DAWID ŚMIGIELSKI

Współtwórca filmu dokumentalnego *Zakazany owoc nr 6*. Urodził się w paskudnym szpitalu gdzieś w południowej Polsce. Uwielbia patrzeć na swoją półkę z komiksami. Czasem coś napisze.



ARAM STERN

Germanista z pasją teatralną. Zostawił kilka zdań o niej w „Musli Magazine", „Biuletynie ZASP", „Teatrze dla Was", „e-teatr.pl" i „Dzienniku Teatralnym". Nie potrafi powiedzieć, w jakim jest wieku; ten ciągle się zmienia.



MAGDA WICHROWSKA

filmoznawczyni, filozofka, felietonistka. Kocha Nowy Jork, wykłada w Bydgoszczy, mieszka w Toruniu. Żona Szymona, własność suczki rasy cavalier o imieniu Keaton.



OLGA WRÓBEL

Urodzona w 1982, ulokowana w Warszawie. Z wykształcenia kulturoznawca, z zawodu sekretarka - muzealnik. Autorka komiksu „Ciemna strona księżyca" i wielu innych, prowadzi bloga „Odmiany masochizmu". Lubi herbatę jaśminową i frytki.

Biogramy autorów tekstów literackich i twórców prac prezentowanych w Tworach znalazły się w sąsiedztwie ich dzieł. Współtwórcom numeru, zarówno Tym, których notki biograficzne tu widzimy, jak i Tym, którzy nie ośmielili się umieścić informacji w tej tu rubryce, i Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania pierwszego numeru „Menażerii" - wielkie, wielkie dzięki!

RYS. ANDRZEJ LESIAKOWSKI



odsłony

Menażeria

REDAKCJA
Jerzyk Adamiak, Karolina Natalia Bednarek, Konrad Burzyński, Małgorzata Burzyńska, Bartosz Dobrzelecki, Małgorzata Drążek, Hanna Grewling, Michał Groszewski, Szymon Gumienik, Gosia Herba, Beata Jurkiewicz, Andrzej Kilanowski, Maciej Krzyżyński, Anna Ladorucka, Andrzej Lesiakowski, Wiktor Łobażewicz, Marta Magryś, Andrzej Mikołajewski, Agnieszka Paczkowska, Jacek Seweryn Podgórski, Marek Rozpłoch, Paweł Schreiber, Iwona Stachowska, Aram Stern, Szymon Szwarc, Dawid Śmigielski, Magda Wichrowska, Monika Wieczorkowska, Grzegorz Wincenty-Cichy, Karolina Wiśniewska
Redaktor naczelny: Marek Rozpłoch
Zastępca redaktora naczelnego: Aram Stern
Sekretarz redakcji: Jerzyk Adamiak
Szata graficzna i logo: Monika Wieczorkowska
Redaktorzy działu tekstów literackich: Hanna Grewling, Paweł Schreiber, Szymon Szwarc
Redaktor działu Twory: Gosia Herba
Redaktorzy działu Pod okładką: Jacek Seweryn Podgórski, Dawid Śmigielski
Administrator strony na facebooku: Anna Ladorucka
Korekta: Jerzyk Adamiak, Małgorzata Burzyńska, Agnieszka Paczkowska, Szymon Szwarc
Skład: Maciej Krzyżyński, Jacek Seweryn Podgórski, Marek Rozpłoch, Aram Stern, Monika Wieczorkowska
E-maile:
mrozploch.menazeria@gmail.com
stern.menazeria@gmail.com

WYDAWCA: Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Megafon”


HEEEJ, WYDALI KSIĄŻKĘ Z NASZĄ MAILOWĄ KORESPONDENCJĄ!
DWIE TĘGIE GŁOWY, CHCIAŁABYŚ POCZYTAĆ, NIEPRAWDAŻ?
HEJ, hej... spokojnie, chłopaki.
OSTATNIE PÓŁROCZE:
KUPIONE
PRZECZYTANE
A CO TAM, KUPUJĘ.
ZNOWU PANI NAKUPOWAŁA! A JA TO MUSZĘ NOSIĆ!
DOBRA DOBRA! GDZIE MAM PODPISAĆ?
UHM.....
B-H.L → M.H.
NIEDZIAŁES TO?
M.H. → B-H.L.
LOL! Sfare! Ale pain na to www.redtube.com
B-H.L → M.H.
Nie mam utworu
M.H. → B-H.L.
Twoja żona też tak świetnie rdzi!

OLGA WRÓBEL